



STYCZEŃ

1986

miesięcznik polityczny  
Liberalno Demokratycznej Partii  
„Niedległość”

Nr. 49

WARSZAWA

cena 70zł

KOMUNIKATY

APEL

PO CZTERECH LATACH

FELIETONISTA - POLITYKIEM

ROSYJSCY DYSYDENCI A KWESTIA  
UKRAIŃSKA

W POSZUKIWANIU PRZYMIERZA:

CZY MOŻLIWE JEST POROZUMIENIE

POLSKO - UKRAIŃSKIE /Tygodnik Nowo-  
jorski/

NOWI BOJOWNICY O WOLNOŚĆ /Commentary/

REFLEKSJE Z LEKTUR: KIKS!

POCZTA DO I OD REDAKCJI:

LIST DO ALEKSANDRA SMOLARA

DEKLARACJA CZECHOSŁOWACKO - POLSKA



Wydaje GPN

# KOMUNIKATY:

W związku z ukazaniem się KOMUNIKATU Rady Politycznej Liberalno-Demokratycznej Partii "NIEPODLEGŁOŚĆ" oraz rozpoczęciem wydawania przez nią pisma nawiązującego tytułem i winietą, wydawany przez nas od czterech lat miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" informujemy:

1. W listopadzie 1984 roku Organizacja "NIEPODLEGŁOŚĆ" utworzyła Liberalno-Demokratyczną Partię "NIEPODLEGŁOŚĆ", do której dołączyły się ugrupowania terenowe tworzące autonomiczne oddziały. Taka struktura partii trwała przez rok.
2. W listopadzie 1985 roku Oddziały Krakowski, Lubelski i Poznański odłączyły się powołując odrębną Radę Polityczną. Rada ta reprezentuje tylko część środowiska partii i nie dysponuje prawami wydawniczymi miesięcznika "NIEPODLEGŁOŚĆ".
3. Do czasu wyjaśnienia sytuacji powstającej w Liberalno-Demokratycznej Partii "NIEPODLEGŁOŚĆ" działalność naszą prowadzić będziemy w ramach organizacji "NIEPODLEGŁOŚĆ".
4. Redagowanie i wydawanie miesięcznika politycznego "NIEPODLEGŁOŚĆ" kontynuować będą dotychczasowa redakcja oraz dotychczasowy wydawca - "Grupa Pisma" "NIEPODLEGŁOŚĆ".

Organizacja "NIEPODLEGŁOŚĆ"

Miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" ukazujący się od stycznia 1982 r. wydawany jest przez Grupę Pisma "NIEPODLEGŁOŚĆ". Posiada on wszelkie prawa wydawnicze na terenie Polski. Przedruk pojedynczych artykułów dozwolony z podaniem źródła, całości po uprzednim porozumieniu z GP "N". Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje "INDEPENDENT POLISH AGENCY" (Copyright outside by IPA) Ostramartensgaten 15 Box 2113, 220 02 Lund, Sweden.

Apelujemy o przekazywanie wpłat i darów rzeczowych (farba, matryce, zwłaszcza papier...) na FUNDUSZ WYDAWNICZY "NIEPODLEGŁOŚCI" poprzez kolportaż. Potwierdzamy wpłaty: Mikus - 1000, Ropucha - 1000, Teresa - 1000, Rakuszenie - 200. Dziękujemy Kiciowi za 500 jaj i oliwę. Szczybiorek potrzebny na włosnę.

Zawiadamy, że stale z nami współpracują na terenie:

- Francji (a także RFN i Benelux) - Leszek TRUCHLEWSKI, rue Davy, 2, Paris 7501
- Szwecji (a także całej Skandynawii) - Janusz CUPRYJAK, vag 43II, 3-35255, Vaxjo

## APEL

DO NARODÓW ZJEDNOCZONYCH I PRZYJACIÓŁ POLSKI

Czterdzieści cztery lata temu rządy 26 państw sprzymierzonych w walce z hitlerowskim totalitaryzmem podpisały wspólne oświadczenie znane jako "DEKLARACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH". Zgodziły się w niej na wspólny program celów i zasad zawartych w łącznym oświadczeniu Prezydenta Stanów Zjednoczonych i Premiera Wielkiej Brytanii z 14 sierpnia 1941 r., znanym pod nazwą "KARTY ATLANTYCKIEJ". Narody Zjednoczone gwarantowały swobodne wyrażenie woli wszystkich narodów zarówno co do zmian ich terytorium, jak i wybrania formy rządu, pod którym chcą żyć. Jaltańskie porozumienie trzech mocarstw w stosunku do Polski stanowiło przekreślenie zasad wyrażonych w "KARCIE ATLANTYCKIEJ". Mocarstwa gwałcąc suwerenne prawa Narodu i Państwa Polskiego kreowały nową formę rządów w Polsce, która trwa do dzisiaj. Przez całe czterdzieście lat rządy zdominowane przez komunistów nie dopuściły do wolnych wyborów w Polsce. Także obecne pseudowybory spełniają rolę atrapy ustroju demokratycznego.

Dlatego zwracamy się do przyjaciół Polski i jej wojennych sojuszników o konsekwentne zerwanie wszelkich kontaktów międzyparlamentarnych, o pełny bojkot Sejmu PRL na arenie międzynarodowej. Niechaj będzie to pierwszy krok na drodze ku przywróceniu Polakom praw politycznych.

Z prośbą o przekazanie naszego apelu tym Sprzymierzonym, którzy nie ulegli komunistycznemu totalitaryzmowi, a także wszystkim innym przyjaciołom Polski na świecie zwracamy się do emigracyjnego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie, który jest bezpośrednim kontynuatorem tamtego gabinetu - Sygnatariusza "DEKLARACJI NARODÓW ZJEDNOCZONYCH".

Zespół kwartalnika politycznego  
"SAMOSTANOWIENIE"

Organizacja "NIEPODLEGŁOŚĆ"  
Grupa Pisma "NIEPODLEGŁOŚĆ"

# DEKLARACJA

CZECHOSŁOWACKO-POLSKA \*

W drugim roku II Wojny Światowej, rządy Czechosłowacji i Polski rezydujące w gościnnym Londynie, reprezentując swoje narody żyjące w krajach walczących z żelaznym jarzmem nazistowskiej władzy okupacyjnej, zdecydowały się wyciągnąć naukę z upadku porządku europejskiego, który wywołał wojnę światową, pozbawił nasze kraje niepodległości a ich ludność naraził na niewymowne cierpienia. Świadami położenia naszych narodów w sercu kontynentu europejskiego oraz ich współodpowiedzialności za pokój, bezpieczeństwo i dobrobyt w wyzwolonej Europie Środkowej rządy Czechosłowacji i Polski w Londynie postanowiły nakreślić plany Konfederacji ich dwóch sąsiedzkich państw, która by była ustanowiona po wojnie z ostatecznym celem utworzenie szerszej, przyjaznej i pokojowej Unii Państw Środkowej Europy. 19 stycznia 1942 roku przedstawiciele obu rządów Hubert Ripka i Edward Raczyński podpisali w tej sprawie wspólną deklarację o Konfederacji Czechosłowacji i Polski, której czterdziestą, czwartą rocznicę obchodzimy w dniu dzisiejszym.

Jednakże, po odniesieniu zwycięstwa, Polacy, Czesi i Słowacy zostali brutalnie pozbawieni jego owoców. Zamiast wolności i demokracji, Związek Sowiecki i jego siły zbrojne przyniosły naszym krajom nowe ujarzmienie i komunistyczną dyktaturę. Zamiast sprawiedliwości i pokoju partie komunistyczne ustanowiły rządy opresji i terroru. W miejsce narodowej niepodległości, przyjaznej współpracy i przestrzegania ludzkiej godności nasze narody zostały przemienione w satelity Imperium Sowieckiego a ludność obniżona do poziomu nowoczesnego poddaństwa.

Nasze plany nie mogły być zrealizowane. Oczekują one dnia, w którym nasze narody odzyskają swą niepodległość i będą znów rządzone przez rządy z własnego wyboru. W ciągu 40 lat od zakończenia II Wojny Światowej nasze narody wielokrotnie wykazały, iż nigdy nie odstąpiły od tego szlachetnego celu, nie wyrzekły się aspiracji do życia w wolności i determinacji stawiania czoła najcięższym przeciwnościom.

Rada Wolnej Czechosłowacji i Rząd Polski na uchodźstwie podzielają ponad wszelką wątpliwość te uczucia. Jeżeli mamy zbliżyć osiągnięcie naszego celu, nie możemy ani w Czechosłowacji ani w Polsce ani na uchodźstwie działać bez współpracy między nami a także narodami Europy Środkowej i Wschodniej, obecnie pod władzą komunistyczną. Jesteśmy więc zdecydowani aby zjednoczyć nasze siły do walki, która nas czeka ponieważ dzielimy te same aspiracje i ponieważ jesteśmy przekonani, że w naszej jedności leży nasza największa siła i nadzieja.

Choć uznajemy, że ostateczna decyzja o formie naszych wzajemnych stosunków należy wyłącznie do naszych narodów po odzyskaniu przez nie swobody jej podjęcia, postanawiamy położyć fundamenty pod nową Środkową i Wschodnią Europę rządzoną przez rządy demokratyczne i dążące do scalenia jej członkowskich państw w nową wspólnotę narodów natchnioną celami i zasadami DEKLARACJI CZECHOSŁOWACKO POLSKIEJ z 19 stycznia 1942 roku. Podejmujemy to zobowiązanie w przekonaniu, że taka wspólnota zagwarantuje wolność, bezpieczeństwo i dobrobyt wszystkim naszym narodom. Nie ustaniemy w naszych wysiłkach, aż do zrealizowania tego, nie zakończonego jeszcze zadania.

PRZEWODNICZĄCY RADY WOLNEJ CZECHOSŁOWACJI

Mojmir Povolny

CZŁONEK RADY WOLNEJ CZECHOSŁOWACJI

Rudolf Frasztański

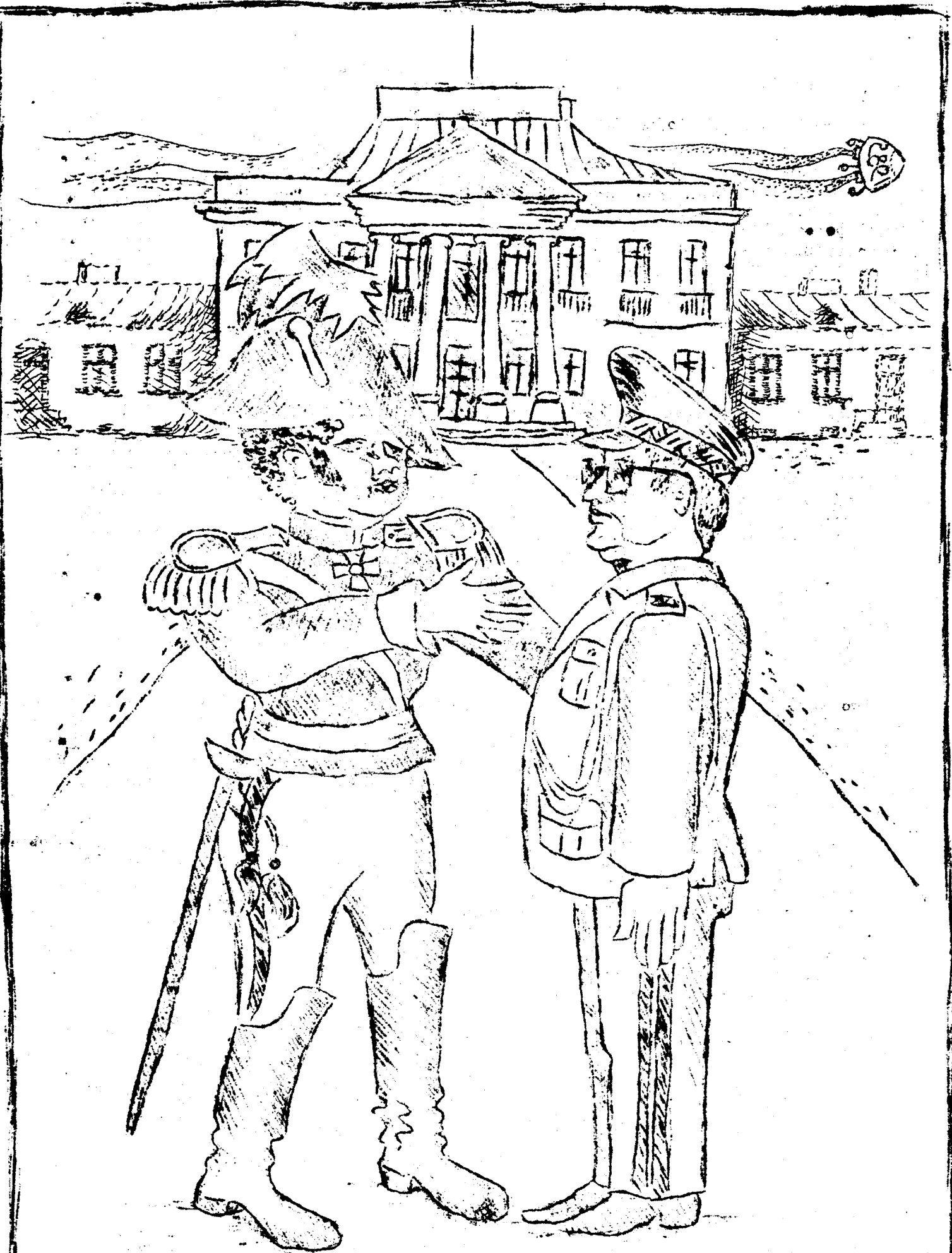
PREZYDENT RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Edward Raczyński

PREMIER RZĄDU R.P. NA UCHODŹSTWIE

Kazimierz Sabbat

\* Deklaracja podpisana w siedzibie rządu R.P. na uchodźstwie 16 stycznia 1986 roku w wersjach - polskiej, czeskiej, słowackiej i angielskiej w obecności emigracyjnych działaczy Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy i Estonii oraz konserwatystów brytyjskich - tekst DEKLARACJI przytaczamy za RADYEM "WOLNA EUROPA". /przypis redakcji/ III.



WITAM NARESZCIE GODNIEGO NASTĘPCĘ.  
R OJENI PĄD TENEPAN RPYZEWPCKNŃ!

## P O C Z T E R E C H      L A T A C H

Cztery lata temu, bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego, nasze ugrupowanie rozpoczęło swoją działalność. Było dla nas oczywiste, że w nowej sytuacji, wobec ewidentnego przecież bankructwa obowiązującej dotychczas linii "porozumienia i dialogu" z komunistycznymi władzami, potrzebna jest analiza sytuacji w jakiej znajduje się społeczeństwo polskie. W jej wyniku powinno się wytyczyć i perspektywiczne i bieżące cele, znacznie dalej idące niż przyjęte w "Porozumieniu Gdańskim" lub w Programie uchwalonym na I Krajowym Zjeździe Delegatów "Solidarności" oraz zaproponować drogę ich realizacji. Zwłaszcza, że wszelkie taktyczne uniki, maskowanie celów, ezopowy język, tak powszechne w ciągu 16 miesięcy "Solidarności", wobec faktycznego zdelegalizowania Związku 13 grudnia 1981 r. i iluzorycznych tylko nadziei na możliwy do przyjęcia przez społeczeństwo kompromis z władzami straciły jakąkolwiek rację bytu.

W niezbędnej i, naszym zdaniem, oczekiwanej dyskusji nad celami i taktyką ruchu postanowiliśmy wziąć udział poprzez redagowanie i wydawanie pisma - miesięcznika politycznego - na którego łamach zamierzaliśmy lansować nasze koncepcje poddając je krytycznej ocenie naszych zwolenników i przeciwników. Miesięcznikowi naszemu nadaliśmy tytuł "N I E P O D L E G Ł O Ś Ć" świadomie eksponując podstawowe zadanie stojące przed społeczeństwem polskim: konieczność wybicia się Polski na niepodległość. Pierwszym krokiem na tej drodze powinno być odrzucenie komunizmu - pokonanie go w myśli - jak to wtedy formułowaliśmy. Jak to zrobić, zastanawialiśmy się w naszym środowisku; dyskutowaliśmy także konkretne propozycje na łamach naszego pisma. Najważniejsze z nich to:

1. Zakwestionowanie prawomocności komunistycznej władzy - oczekiwaliśmy tu, że w sytuacji powszechnego oporu i gwałtownego formowania się podziemia posiadający społeczny mandat, ocaleni przed internowaniem lub uwięzieniem przywódcy "Solidarności" utworzą struktury, które w miarę szybko przekształcą się w reprezentujący większość społeczeństwa i uprawniony do przemawiania w jego imieniu rząd podziemny. Taki kierunek działań, sądziliśmy, był o tyle niezbędny, że w sytuacji zupełnej izolacji komunistów w Polsce i kompletnej dewastacji zdanej na łaskę zachodnich wierzycieli peerełowskiej gospodarki, załamaniu się władzy wojskowych w perspektywie kilku miesięcy wydawało się, nie tylko nam, realne i otwierające przed ruchem niezależnym nieoczekiwane perspektywy.

2. Upolitycznienie społeczeństwa polskiego poprzez wytworzenie systemu partii politycznych zgodnych co do podstawowych pryncypiów ustrojowych Polski niepodległej a spierających się o ideologię, o konkretne rozwiązania praktyczne. Nie było oczywiście naszym celem wypracowanie mitycznej /naszym zdaniem/, zaakceptowanej przez wszystkie środowiska niezależne, polityki polskiej; nie łudziliśmy się także możliwością zainteresowania problematyką polityczną wszystkich ugrupowań podziemnych. Chodziło nam wszakże o przełamanie funkcjonującego w "opozycji" syndromu związkowego faktycznie oddającego monopol na politykę komunistom. Uważaliśmy, że niezależne działania abstrahujące od ich wymiaru politycznego są z samego założenia kąskie i dla społeczeństwa polskiego szkodliwe, bo podtrzymujące fałszywe mity. Zdawali sobie doskonale sprawę, że "nawet jeśli sami się polityką nie zajm/ujemy, polityka zajmie się nami - chcemy czy nie chcemy". /sformułowanie z artykułu "Od Redakcji", "WYKODNIK NOWOJORSKI", nr 3, Nowy York, December 84, str. 2/

3. Przeciwwstawianie się wszechobecnej sowietyzacji przejawiającej się szczególnie w zlewicowaniu świadomości - dążyliśmy tu do przywrócenia prawa obywatelstwa w polskiej myśli politycznej prawiowemu widzeniu państwa i społeczeństwa poprzez propagowanie koncepcji liberalnych w gospodarce i praktyce politycznej; krytyce i odrzucaniu z jednej strony lewicowych utopijnych pomysłów na osiągnięcie powszechnej pomysłowości poprzez nowe eksperymenty społeczne /szeroko popularyzowana koncepcja "trzeciej drogi"/ z drugiej zaś wszelkich /prawiowych i lewicowych koncepcji autorytarnych, centralistycznych i nacjonalistycznych.

Wysuwane przez nas propozycje nie wywołały większej dyskusji, praktycznie zostały zignorowane. Władze podziemnej "Solidarności" zadekretowały koncepcję inną - apolitycznego "społeczeństwa podziemnego", które powinno skoncentrować się na działalności prowadzącej do wymuszenia na władzy nowego porozumienia - nowej "umowy społecznej". Była to nasza pierwsza porażka. Stopniowe słabnięcie społecznej determinacji i woli walki, rozmiękania na drobne w kolejnych nieskoordynowanych akcjach o znaczeniu przeważnie symbolicznym, przeżywalimy dość ciężko. Stąd "antysolidarnościowy" ton naszej publicystyki, zwłaszcza w okresie: lato 1982 - lato 1983.

W przyszłości historycy będą się zapewne zastanawiać i spierać czy w tym dziwnym

roku 1982, roku godziny policyjnej, w których się w oknach świeczek, telewizyjnych spikerów w mundurkach, czołgów i kokałników na ulicach, gwałtownych demonstracji i internowan junta rzeczywiście byłańska upadku, czy nie. Dzisiaj na pytanie to nie sposób sensownie odpowiedzieć. Być może podziemie nie wykorzystało unikalnej szansy, być może to my byliśmy zbyt wielkimi optymistami. Jeśli tak, to na naszej błędnej ocenie zaważył splot trudno przewidywalnych w pierwszej połowie 1982 roku okoliczności. Podziemni działacze "Solidarności" zamiast przystąpić do szybkiego organizowania cieszącej się poparciem społecznym alternatywnej władzy toczyli, jak pokazuje choćby "KONSPIRA", podjazd walki taktyczne - przed użycie rozgrywek z okresu legalnej działalności; tym samym pokazując się indywidualnościami nie na historyczną miarę. W związku z tym nie tyle byli w stanie ile nie chcieli przekształcić się w podziemny rząd; ba, nawet nie potrafili wykorzystać zgromadzonego w społeczeństwie materiału zapalnego do konfrontacji z władzą przeprowadzonej we właściwym momencie i z właściwych powodów. Świadczy o tym choćby zaprzepaszczenie nastrojów strajkowych wywołanych delegalizacją Związku Zachodni wierzyteli potraktowali polskie problemy w sposób typowy dla bankierów i polityków. Nawet Regan nie wykorzystał znakomitej okazji do zaszkodzenia komunistowi i nie ogłosił niewypłacalności Polski, chociaż mógł. Zamiast tego wyasygnował Federalnego budżetu odpowiednią sumę na pokrycie niespłaconych rat kredytu, które był żyrantem i sprawa została odłożona ad acta i to bez uzyskania w zamian jakichś znaczących ustępstw od polskich lub sowieckich komunistów. Trudno powiedzieć czy ogłoszenie niewypłacalności Polski, co musiałoby pociągnąć za sobą kompletną reorganizację peerelowskiej gospodarki, załamałoby rząd komunistyczny lub skłoniło go do znaczących ustępstw, w każdym razie proby takiej nie podjęto.

Również postulowany przez nas proces politycznienia podziemia następował bardzo powoli - znacznie wolniej niż przypuszczaliśmy. Obserwowaliśmy wprawdzie tworzenie się grup i grupki o różnym poziomie politycznienia, różnym stopniu samoświadomości, różnym zaawansowaniu formułowania propozycji programowych, czasami otwarcie deklarujących swoją apolityczność, najczęściej w mniejszym lub większym stopniu nawiązujących do symboliki związkowej i mitologii "Solidarności". Proces ten, prawidłowy, lecz naszym zdaniem zbyt wolny, zakończył się na etapie różnicowania i nie wszedł do dziś w swą następną fazę, fazę jednoczenia się grup wokół wspólnych płaszczyzn ideowych. Dlatego też, dziś mamy czynienia z wielością różnych i różnorodnych ugrupowań tworzących skomplikowaną mozaikę polityczną opozycji a nie z opozycją polityczną.

Przez ten cały czas następowało powolne, praktycznie niezauważalne przez większość środowisk niezależnych, słabnięcie opozycji, zanik antykomunistycznej determinacji społeczeństwa. Zmęczona niepokojami lat 1976-1981, zgnębiona kryzysem i spadkiem stopy życiowej, pozbawiona nadziei na rychłą poprawę swego losu, coraz bardziej sceptycznie nastawiona do apeli i wezwań podziemia, która może zdecydować, niewątpliwie zakończył się sukcesem władz, które uzyskały na krótko co najmniej lat względną stabilizację.

Jedynym być może naszym sukcesem w pierwszym okresie działalności (do lata 1983r.) poza przebicciem się z naszymi poglądami na czytelniczy rynek niezależny - co być może zawdzięczamy także "rewolwerowemu" stylowi naszej publicystyki - to zakwestionowanie powszechnego przekonania, że wszyscy Polacy kochają socjalizm. Usłyszano nasze ówczesne hasło: "Wypaczenia tak - socjalizm nie!"; to wywalczenie, niewielkiego jeszcze wtedy miejsca dla prawicy politycznej.

Nowa, w stosunku do istniejącej w trakcie stanu wojennego, sytuacja przejawiająca się w znacznym ograniczeniu skali społecznego oporu, w ideowym, organizacyjnym i koncepcyjnym pluralizmie podziemia oraz w stopniowej konsolidacji i odzyskiwaniu społecznego terenu przez komunistów wymagała nowego przemyślenia lansowanych przez nas koncepcji politycznych. O ile same cele, tj. przybliżenie wybicia się Polski na niepodległość poprzez: zakwestionowanie prawomocności komunistycznej władzy; oraz przeciwstawienie się powszechnemu zlewiciowaniu środowisk niezależnych lansowaniem prawicowych (liberalnych) koncepcji politycznych; pozostały identyczne - to, niewątpliwie, taktyka ich osiągnięcia powinna ulec zmianie, powinna zostać rozpisana na znacznie dłuższy okres czasu.

I tak, biorąc pod uwagę istnienie w ruchu niezależnym wielu ugrupowań podziemnych, które w nowej sytuacji na pewno nie dały się wtłoczyć w "Solidarności", nawet jeśli się z niej wywodziły, wysunęliśmy koncepcję połączenia wysiłków wszystkich podmiotów opozycyjnych w tzw. "Ruchu na Rzecz Przywrócenia Demokracji", w ramach którego powinien wykrystalizować się ośrodek ("Podziemne Porozumienie Polityczne") zdolny do koordynacji działań antykomunistycznej opozycji oraz do zakwestionowania mandatu

pełnowładczą. Tym razem nad proponowanym przez nas rozwiązaniem odbyła się w prasie niezależnej dość szeroka dyskusja i wydaje się nam, że cieszyło się ono nawet znacznym poparciem, choć były także głosy doszukujące się w nim drugiego dna - próby przejęcia nimbów "Solidarności" przez niezbyt popularną opozycję polityczną. Stanowisko takie wydawała się także reprezentować TKK, która ani nie poparła projektu, ani nie przedstawiła żadnej alternatywy uważając zapewne, że lepsze jest wrogiem dobrego, ponieważ jest dobrze... Obecnie, wydaje się nam, że projekt ten należy odłożyć ad acta, czekając na lepsze czasy. W każdym razie lansowane przez niektórych działaczy terenowych (np. przez Małopolski Oddział LDP "N") próby utworzenia regionalnych porozumień nie mają z naszym projektem wiele wspólnego. Porozumienia takie bowiem, utworzone wbrew zgodzie oficjalnej "Solidarności" i bez jej udziału, byłyby wyrazem instytucjonalizacji podziałów wewnątrzopozycyjnych a nie jedności różnorodnych ugrupowań niezależnych.

Analizując stan świadomości i zorganizowania opozycji pod koniec roku 1983 doszliśmy do wniosku, że już wtedy istniała możliwość utworzenia kilku znaczących partii o sprecyzowanych zasadach ideowych i programowych. Liczyliśmy na samookreślenie i scalenie się grup o orientacjach - socjaldemokratycznej, narodowej, chrześcijańsko-społecznej, liberalnej, a w dalszej kolejności konserwatywnej i ludowej. Sami pragnęliśmy utworzyć partię jako jedną z wielu, w każdym razie jako pierwszą, sądząc, że tradycje socjaldemokratyczne, narodowe czy chrześcijańskie są w Polsce silniejsze niż liberalne, do których nawiązywaliśmy, toteż powołanie i działalność tych partii lepiej przyczyni się do ustabilizowania opozycyjnego systemu politycznego niż nasze stronnictwo. Sądziliśmy także, że warunkiem prawidłowego funkcjonowania systemu politycznego wymagającego m.in. dyskusji na temat programu i taktyki, praktycznej nauki sztuki kompromisu w bieżącej działalności, wreszcie budowy wspólnej infrastruktury politycznej - jest pluralizm nie tylko ideowy ale także organizacyjny. Inaczej mówiąc, czekaliśmy na powstanie otoczenia. I nie doczekaliśmy się.

Czekanie to może złe słowo, czas ten bowiem poświęciliśmy na wewnętrzną (w środowisku) i publiczną (na łamach "NIEPODLEGŁOŚCI") dyskusję nad problemami związanymi z utworzeniem partii. Przeprowadziliśmy intensywną debatę nad programem naszego ugrupowania, w wyniku której, w nr 28 opublikowaliśmy jego podstawową wersję. Zasady programowe uległy i ulegają oczywiście pewnym modyfikacjom w wyniku dyskusji zarówno z naszymi czytelnikami jak i wewnątrz grupy, pozostały jednak do dziś jednoznaczne w swych głównych zarysach. Wkrótce potem skonfrontowaliśmy nasz program z programami innych ugrupowań podziemnych poświęcając tej tematyce cały nr. 30. Zastanawialiśmy się wreszcie nad trudnym kompleksem spraw związanych z praktyczną działalnością partii podziemnej o ambicjach demokratycznych. Naszym poglądom w tej kwestii daliśmy wyraz w zamieszczonych w nr 34-35 i 36 artykułach: "Krotki kurs wiedzy o partii" oraz "W kierunku partii".

Podjęwając działania mające nas doprowadzić do utworzenia partii mieliśmy jej wyidealizowany obraz, będący częściowo projekcją naszych doświadczeń z dotychczasowej wieloletniej działalności niewielkiej grupki połączonej wspólnymi poglądami, temperamentem politycznym, przeżytymi wspólnie niebezpieczeństwami, czasami przyjaźnią, częściowo zaś wynikiem teoretycznej wiedzy o mechanizmach funkcjonujących w politycznych organizacjach w warunkach działalności podziemnej. Zdawaliśmy sobie sprawę, że struktura partii politycznej jest funkcją stawianych sobie przez nią celów. Inna jest sytuacja partii rewolucyjnej, dążącej do obalenia systemu i przejęcia pełni władzy, inna zaś partii opowiadającej się za pluralistycznymi rozwiązaniami politycznymi. Inna partii działającej legalnie, inna nielegalnie, w końcu inna partii powołującej się na popularną w społeczeństwie ideologię, inna zaś partii zdobywającej dopiero zwolenników dla swych idei. Miarą naszych trudności w sprecyzowaniu charakteru partii, którą pragnęliśmy utworzyć niech będzie konieczność pogodzenia jej demokratycznych celów z rewolucyjnością przemian niezbędnych do osiągnięcia pluralizmu politycznego. W każdym razie tworzona przez nas partia nie mogła być partią rewolucyjną w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Jej celem bieżącym nie miało być obalenie istniejącego systemu, ani przejęcie władzy. Nie mieliśmy ambicji zastępowania komunistów w monopolu sprawowania władzy, poza tym obalenie systemu przez rewolucję przygotowaną przez grupę zawodowców rewolucjonistów jest w Polsce komunistycznej utopią, chociażby z racji geopolitycznych. Obalenie systemu jest w Polsce koniecznością i w przyszłości napewno nastąpi. Jednak obecnie jest nierealne, dlatego należy skoncentrować się na przygotowaniu społeczeństwa do świadomego życia politycznego bez którego pozbycie się komunistów w istniejącej próżni politycznej przyniosłoby prawdopodobnie katastrofę. Naszą rolę widzieliśmy więc w szerzeniu "ideologii" - zgodnej z naszym programem. Mam tu na myśli ideologię sensu largo obejmującą także praktyczne propozycje rozwiązań ustrojowych, pluralistycz-

czną filozofię polityczną, a także pewne elementy taktyki. Sądziłyśmy, że "szerzenie ideologii" powinno odbywać się na kilku co najmniej poziomach. Należy pozyskiwać działaczy, zwolenników i sympatyków partii oraz programu. Struktura organizacji powinna być dostosowana do deklarowanych powyżej celów. Ponieważ zadaniem jakie sobie stawialiśmy nie było obalenie systemu, struktur hierarchicznych, scentralizowaną, typową dla partii rewolucyjnych, uważaliśmy za niewłaściwą. Deklarowaliśmy dążenie do utworzenia partii - federacji, luźnego związku oddziałów, ośrodków i grup uznających te same pryncypia lecz różniących się szczegółami i zarządzających się własnymi prawami. Ogłaszając o utworzeniu tak pomyślanej Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość" w listopadzie 1984r. zamierzaliśmy osiągnąć co najmniej dwa cele: skonsolidowanie wokół nas naszych zwolenników, zwłaszcza tych spoza Warszawy oraz "wymuszenie" procesu powstawania w opozycji do nas innych partii. Pierwsze miesiące po powstaniu partii potwierdziły jakby pierwsze założenie. Powstały oddziały w Krakowie, Poznaniu, Lublinie, Bydgoszczy i Katowicach; zaktywizowały się grupy naszych zwolenników w kilku innych miastach. Sądziłyśmy, że ludzie którzy przychodzą do nas wyznają poglądy podobne do naszych. W końcu zapoznawali się z programem a także zasadami wg. których zamierzaliśmy organizować partię; ba, mieli możliwość poprzez dyskusję zarówno wewnętrzną jak i na łamach "NIEPODLEGŁOŚCI" wpływać na jej kształt. Tymczasem dość szybko okazało się, że sytuacja nie wygląda tak różowo, że większość ośrodków regionalnych różni się zarówno w poglądach na zasady organizacji i działalności partii jak i na filozofię polityczną. Kwestia charakteru organizacji /scentralizowana - autonomiczna/, zdało się rozstrzygnięta w momencie powstania partii stanęła ponownie na porządku dziennym. Okazało się, że dzielą nas dwa poglądy na bieżącą taktykę polityczną /celem - oddziaływanie na świadomość społeczną i budowa organizacji zdolnej konfrontację z komunistami, próby takich konfrontacji, ustosunkowanie się do "Solidarności"/, na politykę Prymasa Cierpię wreszcie na taktykę pluralizmu politycznego.

Co było przyczyną tych rozbieżności? Sądzymy, że głównym magnesem przyciągającym większość działaczy regionalnych okazało się nie program a magiczne słowo - "partia". Dla nas, założycieli LDP"N", członków Grupy Pisma "NIEPODLEGŁOŚĆ" - oznaczało ono tyle co wspólnotę ludzi o podobnych poglądach politycznych. Dla większości działaczy, którzy przyszli do partii w ostatnim czasie, partia to po prostu organizacja, w której nie program jest ważny a struktura. Sądzymy, że był to wynik naszej błędnej decyzji - tworzenie partii w pewnej próżni politycznej, przy braku innych podobnych organizacji. Sporo z regionalnych działaczy "N" doskonale mogłoby sobie znaleźć miejsce w innych partiach, zwłaszcza o nastawieniu populistycznym i werbalnie radykalnym o hierarchicznej, scentralizowanej strukturze - przykładowo w KPN. Dlaczego trafili do nas? KPN praktycznie nie działa, innych partii tego typu partii nie było a myśmy wtedy właśnie ostatecznie przebili się z naszymi, przecież radykalnymi poglądami, byliśmy na fali. Część zaś naszych zwolenników nie zdawała sobie sprawy, że z radykalizmu słownego niekoniecznie wynika radykalizm działań.

Mimo wszystko sądziłyśmy, że przy przyjętym przez nas modelu partii uda nam się uzgodnić sprawy podstawowe, manifestując one zaś różnice programowe i taktyczne, przede wszystkim w prasie wydawanej przez kolpolski Oddział LDP"N", w "DODATKU POLITYCZNYM" Porozumienia Prasowego "SOLIDARNOSĆ" i w kolportowanym od niedawna "KŁUKUSIE", zamieszczają się w akceptowanej przez nas formule frakcji. Niestety okazało się to złudzeniem. W listopadzie roku 1988 przedstawiciele oddziałów w Krakowie, Poznaniu i Lublinie powołali własne władze centralne partii - Radę Polityczną. Podjęli także decyzję świadcząca o nieprzestrzeganiu reguł fair play w działalności politycznej, decyzję bezprecedensową w historii opozycji. Utworzyli mianowicie własne piśmo centralne, któremu nadali nazwę "NIEPODLEGŁOŚĆ". Decyzję tę możemy zinterpretować tylko w jeden sposób - jako próbę zawłaszczenia imienia i probku innej grupy na własny rachunek; przypomina ona "przejęcie" Koła "ZNAK" w peerelowskim Sejmie przez posła Zabłockiego. W tej sytuacji informujemy naszych czytelników - "NIEPODLEGŁOŚĆ" bowiem wychodzi nadal - że jakakolwiek działalność firmowana przez Radę Polityczną Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość" nie ma obecnie z nami nic wspólnego.

Czteroletni okres naszej działalności oprócz porażek przynosił nam także i sukcesy. Do największych zaliczamy upowszechnienie się wśród opozycji poglądów, które wyznawaliśmy i głosiliśmy od początku naszej działalności. Poglądom tym Grupa Pisma "NIEPODLEGŁOŚĆ" jest wierna do dziś. Naszymi podstawowymi zasadami są:

NIEPODLEGŁOŚĆ, jako ostateczny cel naszych działań. Nie jesteśmy już takimi optymistami, jak cztery lata temu. Nie sądzymy, że niepodległość jest dziś w zasięgu ręki. Uwarunkowania geopolityczne - przede wszystkim sąsiedztwo ZSRR, istniejąca równowaga między supermocarstwami oraz brak powszechnego przekonania w społeczeństwie pol-



skim o konieczności wybicia się na niepodległość przesadzają o tym, że proces jej odzyskiwania będzie długi. Wewnętrzne sprzeczności w komunizmie, a także długoletnie trendy, coraz większe zacofanie technologiczne Związku Sowieckiego wobec Zachodu, wskazują na to, że rozpad Imperium Sowieckiego jest prawdopodobny. W wypadku skumulowania się trudności stojących przed rządem sowieckim może pojawić się szansa wybicia się na niepodległość. Szansa ta może zostać wykorzystana tylko wtedy, gdy będziemy na nadzieję tej szansy przygotowani, gdy będziemy do niepodległości dążyli, gdy będziemy potrafili podjąć walkę o niepodległość mając świadomość konieczności zapłacenia za nią więcej niż "jeden grosz i jedną kroplę krwi", gdy będziemy umieli w maksymalnie krótkim okresie czasu zorganizować w momencie przełomowym stabilną władzę dysponującą legitymacją społeczną i uznaniem państw trzecich. Szerzenie świadomości o powyższych prawdach to jeden z celów naszej grupy.

**WSPÓLNOTA NIEPODLEGŁYCH PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWEJ** jako rozwiązanie polityczne gwarantujące niepodległość wszystkim jej uczestnikom, zabezpieczające je przed rewizjami i imperializmem sąsiednich mocarstw, Rosji i Niemiec. Grupa nasza przeciwstawia się zawsze tendencjom nacjonalistycznym i szowinistycznym występującym w Polsce. Dążymy do przełamania tradycji złych stosunków z naszymi sąsiadami: Niemcami, Czechami, Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Nasza przyszłość wymaga od nas wszystkich rezygnacji z wzajemnych roszczeń terytorialnych. Uważamy, że granice narzucone narodowi Europy Środkowej przed 40 laty są i muszą być nienaruszalne. Sądzymy jednak, że granice w naszym rejonie Europy nie powinny dzielić - wymaga to jednak długotrwałego procesu zbliżenia, zrozumienia i wzajemnej tolerancji. Sądzymy, że pojawiająca się w przyszłości szansa na niepodległość dla Polski będzie także szansą dla naszych sąsiadów, jesteśmy przekonani, że tak jak polskie dążenia i działania niepodległościowe przybliżają nie tylko naszą niepodległość, tak wszelkie próby odzyskania niepodległości czynione przez sąsiadów Polski działają także na naszą korzyść. Dlatego uważamy za niezbędne współdziałanie zniewolonych narodów Naszej Europy zarówno teraz jak i po wywalczeniu niepodległości.

**UTWORZENIE NORMALNEGO /tzn. PLURALISTYCZNEGO/ SYSTEMU POLITYCZNEGO** świadczące o uporaniu się Polaków z sowietyzacją naszych umysłów, w wyniku której uważamy za normalne i pożądane porozumiewanie się z narzuconą nam przez obcych władzą, a nie powołanie własnej. Utworzona w wyniku powstania takiego systemu polityczna reprezentacja społeczeństwa polskiego umożliwiłaby zintensyfikowanie walki z komunistycznymi władzami zarówno w kraju jak i na arenie międzynarodowej.

**DEMOKRATYCZNY KAPITALIZM** jako naturalna forma organizacji życia gospodarczego i społecznego. Propagowanie systemu rynkowego, jedyne, który może zagwarantować zdrowe zasady gospodarowania jest o tyle niezbędne, że w okresie przejściowym mogą pojawić się tendencje do wyboru tzw. "trzeciej drogi", tj. utrzymania dotychczasowych struktur gospodarczych, opartych na własności państwowej, kierowaniu przez państwo gospodarką, stosowaniu protekcjonizmu społecznego, stosowaniu utopijnych eksperymentów w rodzaju samorządów fabrycznych, przy jednoczesnych pozorach demokracji politycznej i odsunięciu komunistów od władzy. Tego rodzaju system polityczny - określane jako populizm - powodować może zacofanie gospodarcze i utworzenie nowej dyktatury. Dlatego odrzucamy go. Jesteśmy zdania, iż zwłaszcza w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości, okresie odbudowy normalnej ekonomii, konieczne jest całkowite odsumienie od Państwa gospodarki, nawet gdyby to miało za sobą pociągnąć pewne koszty społeczne. Dodatkowo jeszcze, demokratyczny kapitalizm wiąże się nam z ograniczeniem roli państwa nie tylko w gospodarce, ale w całokształcie życia społecznego i politycznego. Daje więc gwarancję na rzeczywistą podmiotowość społeczeństwa.

Cztery lata temu powyższe prawdy były potępiane lub co najmniej traktowane jako niebezpieczne, radykalne fantazje przez praktycznie wszystkie grupy niezależne. Dziś są uznawane powszechnie, i nawet przez przeciwników traktowane poważnie. Sądzymy, może dość nieskromnie, że na powyższą ewolucję środowisk niezależnych pewien wpływ miało również nasze pismo.

Nasza ideologia i zasady programowe pozostają nie zmienione. Nie zrezygnujemy w przyszłości, w bardziej sprzyjających okolicznościach z prób poszerzenia formuły naszej działalności. Sądzymy, że procentować będą również negatywne doświadczenia ostatnich lat. Obecnie ograniczymy się przede wszystkim do wydawania pisma. "NIEPODLEGŁOŚĆ" redagowana i wydawana od lat przez ten sam zespół ludzi, ukazywać się będzie nadal, zachowując tę samą formułę co dotychczas.



b/ przykładowo relacja między Piłsudskim a społeczeństwem, polegająca na tym, iż miał on charyzmę i umiał skupić wokół siebie grupę zwolenników, którzy wykonywali jego rozkazy, mimo że ich nie rozumieli.

Negatywna jest relacja jaka zachodziła między Mochnickim a społeczeństwem - całkowite niezrozumienie wielkości polityka i publicysty przez naród.

Polityka jest w sumie domeną wielkich indywidualności - Piłsudski, Mochnicki, Dmowski, Wałęsa. Naród winien ich słuchać. Główna zasługa Piłsudskiego polegała na przykład na tym, że zlikwidował on rządy parlamentarne. Autorytaryzm sanacji nie był najlepszym z możliwych reżymów - lepszy byłby na przykład autorytaryzm endecji - lecz i tak był ustrojem lepszym od parlamentaryzmu.

D. Głównym narzędziem niezależnej polityki w obecnej chwili winna być gra polityczna prowadzona przez Wałęsę. Tej grze wszyscy muszą się podporządkować. Oprócz radykalizmu lewicy, "Solidarność" zgubił nadmiar demokracji. Dziś każdy, kto się sprzeciwia Wałęsie działa przeciwko dobru Polski. Nie ma więc dziś miejsca na demokrację. Można sobie pozwolić na nią od biedy, wtedy gdy jest się silnym i bezpiecznym, nie zaś wtedy, gdy jest się stroną słabszą. Idealny układ opozycji winien wyglądać w sposób następujący: wódz Wałęsa i wykonawcy woli wodza - świadomi jego taktyki lub nie.

E. Celem tego - powiedzmy otwarcie - nieskomplikowanego układu będzie stworzenie gospodarki rynkowej. Związek zawodowy "S" powinien dążyć do przywrócenia w Polsce kapitalizmu przy pomocy gry politycznej swego wodza z komunistycznymi władzami. Niczego dokładniejszego na ten temat niestety Wierzbicki nie pisze. Rozpisuje się natomiast szeroko na temat konieczności stworzenia kapitalizmu. Obecny ustrój jest zbyt tolerancyjny dla pracowników i stąd wynika jego niska wydajność. Socjalizm jest ustrojem nadmiernego w stosunku do wysiłku pracowników dobrobytu i opiekuńczości. Ta nadopiekuńczość socjalistycznego państwa jest przyczyną jego kryzysu. W tym miejscu wypada w końcu oddać głos samemu autorowi. "... suma rozkoszy społeczeństwa nie mierzy się jedną wielkością, określającą dochody, sumę rozkoszy mierzy się dwoma wielkościami, tworzącymi ułamek; wielkość dochodu stanowi jego licznik, wielkość wymaganej pracy mianownik. Realny socjalizm epoki gierkowskiej dawał licznik bardziej niż umiarkowany. Ale dawał mianownik tak bajecznie znikomym, że liczba strzelała w niebo. Życie człowieka na Zachodzie jest bardziej dostatnie. Ale odbywa się w warunkach konkurencji. By się utrzymać na powierzchni trzeba być zdrowym, przedsiębiorczym, bystrym, mieć kwalifikacje, rekomendacje, odwagę. I trzeba nade wszystko pracować i to pracować naprawdę, wydajnie, skutecznie, nie na lipę".

Polemikę z poglądami felietonisty rozpocznę od jego ostatnich twierdzeń. Gdy czyta się ozdobniki Wierzbickiego, którymi opatrzył on cytowany powyżej fragment /"Zarwałem się na równą nogi, wybałuszyłem gały, zacząłem bełkotać "na miłość boską"/ ma się wrażenie, że polonista z wykształcenia przeżywa radość z powodu zrozumienia tajemnicy ułamek. Na naukę nigdy nie jest za późno, lecz ja tę radość przeżyłem już kilkadziesiąt lat temu, rozważania Wierzbickiego nie są więc dla mnie rewelacją. Co więcej, dla kogoś kto ma jakie takie pojęcie o ekonomii są one jawnie fałszywe. Udowodnić to można łatwo dwoma sposobami.

1. Sposób statystyczny. Według prowizorycznych obliczeń /dokładne porównania międzynarodowe, zwłaszcza między krajami socjalistycznymi i kapitalistycznymi są ogromnie skomplikowane, lecz dokładność w naszych rozważaniach nie jest niezbędna/ wydajność pracy robotnika polskiego jest dwukrotnie niższa od hiszpańskiego. Liczbę tę podał między innymi prof. Janusz Tymowski, przy czym uznał to za różnicę szokującą. Według również prowizorycznych obliczeń przedstawionych przez Ernesta Skalskiego w "Tygodniku Powszechnym" średnia płaca robotnika hiszpańskiego jest około pięć razy wyższa od polskiego. Prezentowany przez Wierzbickiego wskaźnik nazwany "sumą rozkoszy" jest więc dla Hiszpanii 2,5 raza wyższy niż dla Polski.

2. Sposób dedukcyjny. Dochód narodowy do podziału rozbić można na konsumpcję, akumulację i zbrojenia. W statystyce komunistycznej wielkość tych ostatnich jest zaliczana do konsumpcji. Wskaźnik Wierzbickiego można więc zapisać:

$$\text{suma rozkoszy} = \frac{\text{konsumpcja}}{\text{konsumpcja} + \text{akumulacja} + \text{zbrojenia}}$$

Wskaźnik ten nie jest precyzyjny, uwzględnić bowiem trzeba jeszcze koszty utrzymania systemu, nasze przybliżenie wystarczy nam jednak i nie zmieni w niczym prawdziwości dowodu. Według rocznika statystycznego w większości krajów kapitalistycznych wskaźnik akumulacji jest znacznie niższy niż w krajach komunistycznych. W latach gierkowskich wskaźnik ten uzyskał w Polsce wielkości wręcz drastyczne / w roku 1973 41,3% w cenach bieżących, gdy w tym samym roku w pracoholicznej Japonii 32%/. Współczynnik akumulacji podawany w rocznikach statystycznych jest raczej zaniżony, niż zawyżony, choćby z ra-

cji struktury cen. Również na zbrojenia przeznaczają Polska podobnie jak inne kraje komunistyczne większy odsetek - według szacunków zachodnich ok. 10% dochodu narodowego, gdy Japonia ok. 1%. Proste obliczenia pokażą łatwo całkowitą bzdurność twierdzeń Wierzbickiego. Dodać tu trzeba jeszcze, że "tarcia" systemu, jego niesprawność itd., wszystko to, co jest niezależne od pracownika powoduje dodatkowo pogorszenie wymyślonego przez felietonistę "społecznych rozkoszy" wskaźnika).

Dlaczego tak dużo miejsca poświęciliśmy zbijaniu tej, w końcu gołym okiem widocznej, bzdury? Po prostu Wierzbicki dał się złapać na wypowiedaniu twierdzeń ewidentnie fałszywych. Nie wysiła się on wcale, by je udowodnić. On jest felietonista, więc po prostu rzuca myśli, a inni niech je łapią. Często są to myśli słuszne i ciekawe, zdarzają się również błędy, jak wyżej omawiany. Dla felietonisty żadna to tragedia - czytelnik pośmieje się i zapomni. Gorzej jednak, gdy felietonista chce uchodzić za twórcę programu politycznego. Wtedy należy zachować większą ostrożność. Kontrowersyjne poglądy to dobra rzecz, trzeba je jednak umieć uzasadnić.

Dywagacje Wierzbickiego o komunistycznym rajach dla robotników są fałszywe. Jestem, podobnie jak on, zwolennikiem gospodarki rynkowej, mam jednak o niej lepsze mniemanie. Przy podobnym poziomie produkcji poziom spożycia jest zdecydowanie wyższy w kraju o gospodarce rynkowej, niż w kraju komunistycznym. Gdyby było odwrotnie, a więc tak jak pisze Wierzbicki, znaczyłoby to po prostu tyle, że gospodarka komunistyczna jest sprawniejsza od kapitalistycznej, czyli do wykonania pewnego zadania potrzebuje mniejszych nakładów pracy. Apolog rynku zaplątał się przez pomysł w twierdzenia żywcem wzięte z podręczników ekonomii socjalizmu i to raczej z poprzednich epok.

Brak wszelkich podstaw przy stawianiu skrajnych twierdzeń to największa słabość Wierzbickiego. Powtórzę jeszcze raz - u felietonisty skrajne sądy nie muszą być wadą, pozwalają one bowiem spojrzeć z innego punktu widzenia na utarte schematy. Ponieważ jednak Wierzbicki co rusz porównuje się do Mochnackiego, nie uważa się więc wcale za wesołka, lecz za poważnego, a nawet wybitnego publicystę politycznego. Mówi zresztą o sprawach bardzo poważnych. Na poglądy Wierzbickiego należy więc spojrzeć poważnie.

Zgadzam się z nim, że lewica zbyt długo dzierżyła rządy dusz wśród niezależnie myślących intelektualistów. Nie wierzę w poprawiony socjalizm, lecz w wolną przedsiębiorczość. Nie wierzę jednak również w możliwość stworzenia gospodarki rynkowej przy zachowaniu władzy przez komunistów. Oferty tego typu kierowane przez Wierzbickiego, a także na przykład Korwina-Mikke do peerelowskich władz są naprawdę pozbawione podstaw. Dla komunistów gospodarka jest jednym ze środków sprawowania władzy. Przekonywanie ich, że lepiej będzie im się rządzić, gdy gospodarka stanie się kapitalistyczna jest stratą czasu. Jedyna droga do stworzenia takiej gospodarki to obalenie komunistycznej władzy.

Pomysł Wierzbickiego, aby kapitalizm w Polsce miałą przeforsować "Solidarność" przy pomocy subtelnej gry swego wodza należy do kategorii "pobożnych życzeń" bijąc już wszelkie rekordy bzdury. Felietonista zalicza Wałęsę do prawicy. Czyżby? Czyż to nie on wielokrotnie mawiał, że cała "S" jest zwolenniczką socjalizmu. Czy Wierzbicki nie zna tych wypowiedzi zarówno przed, jak i po 13 grudnia. A może po prostu uważa je za grę polityczną?

Za najbardziej kontrowersyjne z całego tekstu Wierzbickiego uważam jego poglądy na demokrację i przyczyny klęski "S". Poglądy te zbliżone są bardzo do prezentowanych w rządowej prasie. Przepraszam za tę insynuację, lecz nasuwa się ona sama. Sądzę, że felietonista postanowił być bardzo oryginalny; do tego stopnia, że w opozycyjnym wydawnictwie prezentuje poglądy, jakby żywcem wzięte z prasy partyjnej. Rzeczywiście - oryginalność duża. Bravo! "S" przegrała, ponieważ była zbyt radykalna. Gdyby nie była - wygrałaby. "S" przegrała, bo uległa wyuzdanej demokracji, czyli anarchii. Gdyby słuchała swego wodza - wygrałaby. Oto poglądy Wierzbickiego. Kiedy kto chce pozować na Mochnackiego, musi jednak sprawę zanalizować dogłębniej.

Wygrała - przegrała; radykalni, anarchia - to słowa godne felietonisty, ale nie poważnego publicysty. Ten powinien przede wszystkim zastanowić się na czym miałyby polegać wygrana. Na wyeliminowaniu PZPR-u, czy może na trwałym z partią porozumieniu? Ale przecież było to niemożliwe. Komuniści trwałego porozumienia nie chcieli, na co można przytoczyć setki dowodów. 13 grudnia był nieuchronny. Po prostu tym razem oni jeszcze byli zbyt silni, a my zbyt słabi. Oczywiście mógł mieć różny przebieg.

Historia w ostatnich latach mogła się potoczyć różnie, inaczej niż się potoczyła.

Nie chodzi o "gdybanie", lecz raczej o zrobienie bilansu strat i zysków. Szesnaście miesięcy "S" można było lepiej wykorzystać, ale można było również gorzej. Dwóch zagrożen udało się uniknąć: Po pierwsze - nadmiernych strat biologicznych. Stan wojenny i post-wojenny przyniósł kilkadziesiąt lub kilkaset ofiar śmiertelnych. To dużo, ale liczba ta nie waży ani na przyszłości, ani na świadomości narodu. Po drugie - rozpadu "S" i przechwyceniu kontroli nad Związkiem przez komunistów.

Zażegnanie pierwszego niebezpieczeństwa było "zasługą" słabości Związku i zaniku powstańczego heroizmu Polaków. Prawdopodobnie nasi pradziadowie pokusiliby się i rozproczeli 13 grudnia lub wcześniej powstanie, które zostałoby zapewne krwawo stłumione. Zażegnanie drugiego niebezpieczeństwa było już w pełni świadomą zasługą kierownictwa "S". Jest pewne, że po Sierpniu władze liczyły na to, że nowy ruch będą w stanie kontrolować. Świadczą o tym liczne przykłady, najbardziej znane - Szczecina i Jastrzębia.

W sumie po pięciu latach mamy to co mamy. Nie jest najlepiej, ale na pewno mogło być gorzej. Jakie możliwości straciliśmy? Sądzę, że przede wszystkim dwie: nie zostało postawione przez "S" hasło samostanowienia Polski, głębokich przemian ustrojowych z pluralizmem politycznym i wolnymi wyborami na czele. Zamiast tego pojawiło się tysiące hasel zastępczych i dziś mało kto pamięta dlaczego strajkował, dlaczego nosił biało-czerwoną opaskę. Dlatego, że dyrektor mi i dacie? Dlatego, że podniesiono ceny paliw? Dlatego, że ktoś zabrał hasło z gablotki? Gdyby stan wojenny został wprowadzony w przeddzień wolnych wyborów, rozpisanych przez niezależne ciało społeczne sytuacja wyglądałaby znacznie bardziej klarownie, imna byłaby dziś świadomość społeczeństwa, inne wspomnienia z tego burzliwego okresu.

Inna szansa, której nie wykorzystaliśmy to nauka demokracji. Według Wierzbickiego demokracji było za dużo. Nic bardziej błędnego. Było jej za mało. Decyzje podejmowane były często niezgodnie z przyjętym statutem, władze regionalne wybierane w lecie 1981 roku z reguły składały się z działaczy, którzy czasami przypadkowo pojawili się na arenie na jesieni 1980 roku. Raz przegłosowane uchwały były natychmiast kwestionowane i noddawane głosowaniu powtórnemu, znów niezgodnie ze statutem, czy choćby dobrymi obyczajami. Demokracji było za mało, ponieważ w Związku nie wypracowano sprawnych mechanizmów demokracji, ponieważ ludzie do demokracji nie przywykli, ponieważ wahadło nastrojów zmieniało swe położenie od skrajnej jedynowładności do skrajnej nieufności wobec kierowniczych gremiów. 16 miesięcy było lekcją demokracji, lecz uczono się jej opornie, a egzaminy z niej zdawano z wynikiem raczej wątpliwym. W okresie tym nie utworzono niemal zupełnie infrastruktury politycznej. Nie powstały żadne partie z prawdziwego zdarzenia /może z wyjątkiem KPN, która powstała zresztą przed Sierpniem, choć rzeczywiście rozmachu nabrała dopiero w czasach "S"/. W sumie szansy nie wykorzystano. Nie mała w tym wina Lecha Wałęsy, który wymogi demokracji z reguły lekceważył, podejmował decyzje razem z doradcami /przez nikogo nie kontrolowanymi/ nie podporządkowując się decyzjom kolegialnym /patrz "rozmowy warszawskie", w marcu 1981 r., nieuzgodniony wyjazd na rozmowy z Jaruzelskim w czasie trwania posiedzenia KK w listopadzie 1981 r., jego słowa "możecie sobie postanawiać co chcecie, za mną jest Stocznia" i wiele innych przykładów/. Wierzbicki oczywiście usprawiedliwia takie zachowanie w imię racji wyższych. Tak przecież postępował Piłsudski. Tylko, że Piłsudskiemu coś się jednak udało w jego politycznej działalności, zwycięzcom zaś łatwo się wybacza. W okresie 16 miesięcy "S" nie było racji wyższych od nauki demokracji. Wałęsa i jego doradcy źle tę naukę wykładali.

Mityczna "gra polityczna"! Wódz wie lepiej! Na podstawie czego niby Wierzbicki wystawia tak wysokie noty Wałęsie? Czyżby był jego powiernikiem? Czy widział "te słynne" "asy w rękawie" Przewodniczącego? "Polityczna gra" Wałęsy jak na razie sprowadza się do ciągłej zmiany stanowisk, do niekierzących się propozycji porozumienia z władzą. Od pięciu lat jedynym tego skutkiem jest szarpanie ludzi i wygaszanie nastrojów a potem znów blefy i blefy. Wierzbicki każe mi uznać Wałęsę za geniusza, którego ja po prostu nie jestem w stanie pojąć moim małym mózgiem. Nic z tego. Nie przekonał mnie i chyba nie tylko mnie.

Wierzbicki może przybierać pozę Mochnackiego, a nawet Piotra Skargi. Nic nie poradzi. Pozostanie felietonistą. Zresztą doskonałym.

Janusz NOWICKI

## ROSYJSCY DYSYDENCI A KWESTIA UKRAIŃSKA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO HISTORYCZNE udostępniło polskiemu czytelnikowi przetłumaczone przez Zbigniewa Markowskiego dwa pierwsze rozdziały /jako Tom I, cz.I/ obszernej pracy Miachajła Hellera i Aleksandra Niekricza "RZĄDY UTOPII, HISTORIA ZSRR". Jeżeli Wydawnictwo doprowadzi do końca swoją inicjatywę i jeżeli dalsze rozdziały potwierdzą to, co zapowiadają dwa pierwsze, to otrzymamy opracowanie niezwykle cenne, przejrzyste i przekonująco ukazujące na czym polega fenomen komunizmu. Z obszerniejszym omówieniem pracy Hellera i Niekricza wstrzymamy się do szczęśliwego finału, tj. opublikowania całości. Poniżej chcielibyśmy zwrócić uwagę na pewne, dotyczące także i polskich opozycjonistów, zjawisko polegające na mniej lub bardziej świadomym przyjmowaniu komunistycznej optyki, na niemożności wyswobodzenia się z niewoli komunistycznych sloganów - czyli na nieświadomej, mimowolnej sowietyzacji. I to właśnie zjawisko pojawia się także w pracy Hellera i Niekricza, zwłaszcza w trakcie opisu wojny polsko-sowieckiej.

Tu mała dygresja. Autorem opublikowanych dotychczas rozdziałów "Utopii" jest Michał Heller, urodzony w 1922 roku historyk, mieszkający od 1969 r. w Paryżu, wykładowca Sorbony, autor m.in. znakomitego studium "ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH A LITERATURA SOWIECKA" wydanego w Bibliotece "KULTURY" i przedrukowanego w Kraju przez Wydawnictwo "KRĄG". Od lat współpracuje z "KULTURĄ", robiąc w niej - jako Adam Kruczek - wnikliwe przeglądy prasy sowieckiej; ostatnio zaprezentowane krajowemu czytelnikowi przez Wydawnictwo "GŁOS" w wyborze z lat 1980 - 1983 z tytułowanym "POLSKA W OCZACH MOSKWI". "Comiesięczne kroniki moskiewskie" pozwalają - jak mi się zdaje - pisać Heller we wstępie do krajowego wydania - spojrzeć na szesnaście miesięcy, które wstrząsnęły imperium sowieckim z drugiej strony - oczami Moskwy". Nam zaś pozwala spojrzeć na wydarzenia tych lat i na sowiecką na nie reakcje oczami wnikliwego i przenikliwego <sup>an</sup>sowieckiego opozycjonisty - przyjaciela Polaków.

Właśnie biorąc pod uwagę "polonofilizm" Hellera i jego przenikliwość, godna zastanowienia wydaje się nam żywotność pewnych antypolskich stereotypów, oddziaływujących na jego pracę. Zwłaszcza, że Heller nie ma żadnych złudzeń na temat pokojowej i pro-polskiej polityki Lenina. "Lenin, wierzący, że Rewolucja Październikowa będzie iskrą, która rozpali pożar światowej rewolucji, wiedział, że starcie z Polską - "czerwonym mostem" na Zachód - jest nieuniknione. Konieczność sforsowania "polskiego mostu" nie podlegała dla bolszewików żadnej dyskusji. Problemem było tylko zagadnienie: jak i kiedy? Trocki, kiedy mówił o tym, iż "droga do Londynu i Paryża prowadzi przez Kalkutę" oznajmił pod koniec 1919 roku. Kiedy skończymy z Denikinem, przetrzucimy wszystkie nasze rezerwy na front polski. Polska ważna była dla rządu radzieckiego nie tylko sama z siebie, ale także jako możliwość dojścia do Europy, przede wszystkim do Niemiec". Heller doskonale zdaje sobie sprawę, że Piłsudski uderzając pierwszy wyprzedza tylko nieuniknione. Dalej ironicznie opisuje patriotyczną hecę zorganizowaną przez bolszewików w obliczu polskiego zagrożenia. Przytacza manifest bolszewickiego KC przypominający o "odwiecznej wrogości polsko-rosyjskiej, o poprzednich najazdach - z 1612, 1812 i 1914 roku", oraz apele carskiego generała Brusikowa wzywającego za pośrednictwem "PRĄDY" generałów i oficerów do "obrony ukochanej Rosji przed obcym jarzmem" - w wyniku których do 16 sierpnia 1920 roku wstąpiło do Czerwonej Armii 314180 carskich oficerów i podoficerów. Bez osłonek przedstawia także prawdziwe cele sowieckiej wyprawy na Warszawę, pisząc "Bojowe hasło "Na Warszawę" zaczynało być zastępowane "Na Berlin". Kawaleryjski korpus Gaja dzieliło od stolicy Niemiec dziesięć dni marszu. /.../ W rozmowie z delegatami francuskimi /na trwający właśnie II Kongres Kominternu - przyp. A.W./ Lenin mówił kategorycznie: "Tak, wojska radzieckie są w Warszawie. Wkrótce Niemcy będą w naszych rękach. Znowu zdobędziemy Węgry, Bałkany zbuntują się przeciwko kapitalizmowi, zdradzą Włochy. Burżuazyjna Europa trzeszczy w siewach".

Tym niemniej, przedstawiając wydarzenia lat 1919-1920 jako polską interwencję w sprawę Rosji, Heller w ogóle nie bierze pod uwagę racji polskich. A miały one swoją wagę, choćby prawna - o samoobronie przed komunistyczną agresją nie wspominając. Rząd nienodległej Polski stał na stanowisku, że o losach terytoriów przedrozbiorowej Rzeczypospolitej powinni decydować mieszkańcy tych ziem po porozumieniu z Polakami. Wszakże natomiast działania rosyjskie na tych terenach traktowane były jako agresja. Zwłaszcza, że 29 sierpnia 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Sowieckiej, czyli rząd sowiecki, wydała dekret o anulowaniu traktatów rozbiorowych, a więc nawet z komunistycznego punktu widzenia, Polska sięgała aż do granicy z 1772 r. Jeszcze 8 marca 1920 roku, a więc niespełna dwa miesiące przed "wyprawą kijowską", formułując "zasady, na których rząd gotów jest przystąpić do pertraktacji

pokojowych z rządem Sowietów polska Rada Ministrów postanowiła: "Polska żądać będzie od Rosji dezankcji i zrzeczenia się wszelkich praw do ziem leżących w granicach posiadania Polski w roku 1772."

Rosja - ustami Lenina - uznała polskie żądania za "warunki absolutnie niewykonalne, nawet bezczelne" ponieważ "/.../ polscy obszarnicy i kapitaliści miotają się i odgrają, żądają terytorium z 1772 r., chcą podporządkować sobie Ukrainę". Od samego początku prowadziła politykę aneksji wszystkich nierosyjskich terytoriów byłego Imperium Rosyjskiego i intensywnego i brutalnego komunizowania ich mieszkańców. Zaraz po klęsce Niemiec - 18 listopada 1918 roku bolszewicy unieważnili traktat brzeski rozpoczynając jednocześnie rokowania z przedstawicielami okupacyjnych wojsk niemieckich, w wyniku których uzyskali zgodę na obsadzenie opuszczanych przez Niemców terenów oraz ich uzbrojenie. "Czerwony marsz na zachód" doprowadził do szybkiego zajęcia terenów białoruskich i litewskich, w tym Wilna, które opuścił nacjonalistyczny rząd litewski Voldemarasa udający się pod osłoną Niemców do Kowna. Na nic nie zdał się trwający pięć dni opór polskiej Samoobrony Wilna /od 1 do 5 stycznia 1919 roku/. Na początku lutego doszło natomiast do pierwszych starć regularnych oddziałów. Polacy powoli wypierali bolszewików, uwalniając w kwietniu Wilno i przy okazji Litwę, a w sierpniu zdobywając Mińsk. To fakt - Polska prowadziła wojnę z bolszewicką Rosją, tylko, że była to przecież wojna obronna, toczona na terytoriach, które po anulowaniu traktatów rozbiorowych do Rosji przecież już nie należały.

Także w ocenie przyczyn sowieckiej klęski pojawia się małe ale. "Wojkowe przyczyny klęski - pisze Heller - są oczywiste: niedostateczne współdziałanie wojsk poszczególnych frontów, niedocenywanie sił przeciwnika i przecenianie naszych sukcesów". Jeszcze bardziej oczywista jest polityczna przyczyna klęski: Lenin popełnił ten sam błąd co Piłsudski. Jeżeli Piłsudski uważał, że można przynieść innemu narodowi niepodległość na bagnietach, tak Lenin był przekonany, że można na cudzoziemskich bagnietach przynieść komunizm".

Otóż, po pierwsze: o sowieckiej klęsce zdecydowała nie tyle siła materialna Polaków, ile ich determinacja i patriotyzm; po wtóre: porównywanie polskiej wyprawy na Kijów z sowiecką na Warszawę i Berlin to nieporozumienie. Ale Michaił Heller nie widzi tu żadnych różnic. Dlatego przytacza oddające jego zdaniem "cały paradoks sytuacji powstałej w związku z napaścią Polaków" ironiczne słowa Marka Ałdanowa: "Dyrektor banku Grabski przysiągł wyzwolić bratni Kijów z wielowiekowej moskiewskiej niewoli. Radek i Dzierżyński, jak jeden mąż, rzucili się w obronę świętej Rusi przed Lachami. Generał Bruksów nie mógł ścierpieć krzywdy wyrządzonej komunistycznemu ideałowi". Równie ironicznie i zdawkowo traktuje, jak to określa, polityczne rojenia Piłsudskiego - program federacyjny.

A przecież to nie były polityczne rojenia - to był konkretny program polityczny. Z programem tym załatwia się Heller jednym zdaniem, ani słowem nie wspominając o racjach, które za nim stały. Pomija jego szczegóły, przemilcza także wydarzenia świadczące o próbach jego realizacji.

Tymczasem właśnie w tym programie leży podstawowa różnica między polityką Piłsudskiego a polityką Lenina. Popieranie niepodległościowych aspiracji nierosyjskich narodów Imperium, zwłaszcza Ukrainy, to nie było mieszanie się w "wewnątrzrosyjskie sprawy". Losy Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii a zwłaszcza Ukrainy to nie są przecież "wewnątrzrosyjskie sprawy". To było poparcie dla narodowych dążeń innych, zniewolonych przez Rosję narodów.

Trzeba przyznać, że polityka polska wahała się między dwiema koncepcjami w polityce wschodniej:

- endecką polityką budowy pogodzonego z Rosją państwa narodowego z inkorporowanymi do niego obszarami o względnie dużej ilości Polaków, przy założeniu mniej lub bardziej przymusowej polonizacji mniejszości;

- piłsudczykowską polityką federacji autonomicznych organizmów państwowych Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy.

Dopiero po polskim zwycięstwie, w łonie prowadzącej rokowania pokojowe w Mińsku i Rydze "delegacji sejmowej" przeważało zdanie przeciwników programu federacyjnego - wynik tej przewagi to nieszczęsny pokój ryski, czyli polsko-rosyjski rozbiór Białorusi i Ukrainy. Jednakże, w interesujących nas latach 1919-1920 praktycznie realizowany był program federacyjny. Faktyczny kierownik polskiej polityki wschodniej - Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, wychodził bowiem z założenia, że o losach terytoriów wchodzących przed rozbiorem w skład Rzeczypospolitej zdecydować powinni ich mieszkańcy.

"Chcę dać Wam możliwość rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych, tak jak sami sobie życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub ucisku

ze ~~str. 12~~ "nie" ogłoszonej 22 kwietnia 1919 roku w Wilnie "DO MIESZKANCÓW BYŁEGO WIELKIEGO XIĘSTWA LITEWSKIEGO". "Za nic w ~~Swiecie~~ nie chciałbym, żeby Polska posiadała wielkie przestrzenie, zamieszkałe przez ludność ~~nie~~ go usposobioną. Historia dowiodła nam, że na długą metę te niejednolite skupiska ludności są niebezpieczne. Proszę spojrzeć na Austrię, proszę spojrzeć na Rosję" - mówił w wywiadzie udzielonym w lutym 1920 roku korespondentowi "ECHO DE PARIS".

- Że nie były to tylko gołosłowne deklaracje dowiodła Polska udzielając pomocy Łotwie. Na podstawie prowizorycznej umowy wojskowej zawartej z Łotyszami 16 stycznia 1922 roku wojska polsko-łotewskie dowodzone przez gen. Edwarda Śmigłego-Rydza wyparły z terenów dawnych Inflant Polskich /Letgalii/ oddziały bolszewickie - oswobodzone ziemie, wraz z Dynaburgiem /Dźwińskiem/ nie zostały włączone do Polski, przekazano je Łotwie.

No i wreszcie sprawa najważniejsza - kwestia ukraińska. Zupełnym nieporozumieniem jest pomawianie Piłsudskiego - i Polski - o ambicje terytorialne sięgające Kijowa. Programu takiego nie głosili nawet najbardziej ekspansjonistyczni narodowi demokraci. Polska miała na Ukrainie ograniczone cele terytorialne obejmujące tzw. Małopolskę Wschodnią i Wołyń. Można debatować czy nie sięgały one zbyt daleko - na sporej części tych ziem Ukraińcy stanowili większość, trzeba jednak pamiętać, że choćby ze względu na historyczne ~~żaszczości~~ nie istniała sprawiedliwa granica polsko-ukraińska. W politycznym interesie Polski leżało natomiast powstanie Niepodległej Ukrainy sprzyjającej z Polską i razem z Polską gwarantującej trwałość nowego układu sił na obszarze Międzymorza Bałtycko-Czarnomorskiego. Piłsudski i jego zwolennicy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Jednakże toczące się w Galicji walki polsko-ukraińskie i ich konsekwencje uniemożliwiły powstanie takiego sojuszu już w roku 1919. W końcu roku 1919, kiedy położenie walczących sporadycznie z Polakami, a stale z Białymi /Denikin/ i Czerwonymi /bolszewicy/ Rosjanami oddziałów Ukraińskiej Republiki Ludowej /nie mylić z proklamowaną w 1918 r. w Galicji Wschodniej, a pokonaną przez Polaków w 1919r. Zachodnio-Ukraińską Republiką Ludową/ było niezwykle ciężkie, doszło do zaprzestania walk polsko-ukraińskich. Wojska URL toczyły zacięte walki z napierającymi bolszewikami, w grudniu 1919 r. musiały przejść przez kordon wojsk polskich, gdzie uzyskały miejsce pobytu w Chmielniku. Na Ukrainie pozostały tylko walczące na Zadnieprzu oddziały partyzantów gen. Michała Omielianowicza-Pawlenki. Polska, prowadząc pertraktacje z bolszewicką Rosją, mocno akcentowała prawa Ukrainy do samostanowienia i niepodległości. W tajnych rokowaniach prowadzonych w Mikaszewiczach pod koniec roku 1919 przez przedstawicieli sowieckiej Rosji Juliana Marchlewskiego i Polski Ignacego Boernera, Polska zażądała m.in. bolszewickiej zgody na samostanowienie ludności Białorusi i Ukrainy. Warunek ten bolszewicy zignorowali. W przytoczonych już powyżej sformułowanych przez polski rząd w dn. 8 marca 1920 roku zasadach "na których rząd gotów jest przystąpić do pertraktacji pokojowych z rządem Sowietów" napisano: "Na południu poparty zostanie postulat tzw. ukraiński, tj. postulat stworzenia samodzielnego państwa ukraińskiego./.../ Polska określi jedynie zachodnią i północną granicę Ukrainy mniej więcej odpowiadającą linii Zbrucza i Styru /.../ Polska nie przesądza wschodnich granic Ukrainy, pozostawiając jej samej uzyskanie tych granic od Rosji".

Wobec nieprzyjęcia przez Rosję polskich postulatów w kwestii ukraińskiej Piłsudski postanowił zgodę na niepodległość Ukrainy wymusić siłą. 21 kwietnia 1920 roku Polska i Ukraina podpisały porozumienie rządowe uzupełnione konwencją wojskową.

Na podstawie tej umowy Polska uznała Ukraińską Republikę Ludową za państwo suwerenne i scedowała na jej rzecz terytoria położone na wschód od uznanej przez URL granicy polsko-ukraińskiej /po Zbruczu i Styrcze/ do granic Polski w r. 1772 "które Polska już posiada lub odzyska od Rosji drogą orężną lub dyplomatyczną".

Po doświadczeniach półtorarocznej ni to wojny ni to dyplomacji Polska zdecydowała się odzyskać ukraińskie ziemie byłej Rzeczypospolitej drogą orężną. 26 kwietnia 1920 roku dziewięć dywizji polskich i dwie ukraińskie rozpoczęły tzw. "wyprawę kijowską". "/.../ czynię wiadomym - napisał w odezwie "DO WSZYSTKICH MIESZKANCÓW UKRAINY" Naczelny Wódz Józef Piłsudski - iż wojska polskie usuną z terenów przez naród ukraiński zamieszkałych obcych najeźdźców, przeciw którym lud ukraiński powstał z orężem w ręku, broniąc swych sadyb przed gwałtem, rozbojem i grabieżą. Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, aby władzę na ziemiach tych mógł objąć prawy rząd ukraiński. Z tą chwilą, gdy Rząd Narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj ten przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowić będzie mocen - żołnierz polski powróci w granicę Rzeczypospolitej Polskiej./.../"



I wreszcie, o niepowodzeniu polsko-ukraińskiej "wyprawy kijowskiej" zadecydowały nie niechęć do przyjęcia niepodległości z rąk Polaków a okoliczności wojny, a mianowicie:

- po pierwsze - bardzo szybkie wyparcie z Naddnieprza wojsk polsko-ukraińskich przez bolszewików /oswobodzony 7 maja Kijów opuszczono już 10 czerwca/ co praktycznie uniemożliwiło rozbudowę ukraińskiej armii - choćby ukończenie formowania dywizji gen. Bezruczki;

- po drugie - zmarnowanie polskiego zwycięstwa przez prowadzącą rokowania pokojowe w Rydze, wrogą planom Piłsudskiego "delegację sejmową", której działalność doprowadziła do wspólnego z Rosją Sowiecką rozbioru Ukrainy i Białorusi.

Zastanawiające skąd wzięła się u Michaiła Hellera tak uproszczona i nie mająca pokrycia w faktach wersja polskich motywów wojny z bolszewikami, ironizowanie na temat programu federacyjnego, traktowanie kwestii ukraińskiej jako sprawy wewnątrzrosyjskiej i lekceważenie narodowych aspiracji ukraińskich. Skąd ton, współbrzmiący, zwłaszcza w kwestii ukraińskiej z tonem sowieckiej propagandy.

Być może jest to po części podświadomy skutek indoktrynacji z lat młodzieńczych, podczas krótkiego kursu historii WKP/b/ - WSZECHZWIĄZKOWEJ /PARTII KOMUNISTYCZNEJ /BOLSZEWIKÓW/ - nauki o najeździe "jasniepanów polskich na Kraj Radziecki". Sądźmy jednak, że głównym źródłem hellerowskich uprzedzeń jest cały kompleks spraw ukraińsko-rosyjskich. Dla Rosjanina wewnętrzne pogodzenie się z odrębnością Ukrainy, z jej prawem do samostanowienia i niepodległości, ze świadomością, że Kijów nie był, nie jest i nie będzie rosyjską metropolią - nie jest na pewno łatwe. My, Polacy, zdajemy sobie sprawę jak trudny jest taki proces - z autopsji. W znacznym stopniu mamy go już za sobą. Tymczasem Rosjanie, nawet niezależni opozycjoniści, tak zdawałoby się dalecy od nacjonalizmu jak Michaił Heller, mają ten proces jeszcze przed sobą.

W trzecim tomie "RZECZPOSPOLITEJ OBOJGA NARODÓW" Paweł Jasienica napisał: "Ukrainę nie po to istnieje na świecie by podlegać Polsce lub Rosji". Polacy tę prawdę wreszcie uznali. Czas by zaczęli ją uznawać Rosjanie. Zwłaszcza rosyjscy opozycjoniści, emigranci polityczni, wśród których czołową postacią jest Michaił Heller.

Artur WIECZYŃSKI

! ! ! ! . . . . .  
 . . . . .

## W P O S Z U K I W N I U P R Z Y M I E R Z A

### CZY MOŻLIWE JEST POROZUMIENIE POLSKO-UKRAIŃSKIE ?

przedruk: "TYGODNIK NOWOJORSKI", Nr 3, December 84, s.24-25

W czasach gdy człowiek przechadza się po Księżycu, zbiera tam kamienie i przywozi je na Ziemię na utrapienie naukowcom, a dzieciom z wadą serca czy nerki przeszczepia się zdrowe serce czy nerkę zmarłego - mało jest rzeczy niemożliwych. Lecz nie trzeba szukać przykładów w medycynie. Historia powszechna pełna jest dowodów na to, że wiele zjawisk, które wczoraj wydawały się utopią, dziś stają się rzeczywistością. Weźmy tylko jeden przykład z przeszłości:

W r. 1870 pruska piechota maszerowała ulicami Paryża i był to bolesny policzek dla dumy narodowej Francuzów. Sklepy i okna były zamknięte, żaluzje spuszczone. Przejmując opisał ten tragiczny w historii Francji moment Wiktor Hugo w swych nieśmiertelnych dziełach. W pierwszej wojnie światowej Niemcom nie udało się zdobyć fortecy Verdun, która broniła dostępu do Paryża, ale pola wokół Verdun zamieniły się w największy w świecie wojskowy cmentarz. Czteryście tysięcy Francuzów poległo tam w obronie ojczyzny. W drugiej wojnie światowej "niezwyciężona" linia Maginota okazała się bańką mydlaną. Niemcy obeszl ją, zaatakowali z tyłu i zagarnęli wszystkie bunkry jak dziecięce zabawki. Znowu zajęli Francję, a jej stolicę ustanowili w Vichy. Alzacja i Lotaryngia były w ciągu stuleci kłosa niezgody między Francją i Niemcami - nie było dwóch równie nienawidzących się narodów w świecie. A po objęciu władzy przez Charlesa de Gaulle'a we Francji a w Niemczech przez Adenauera - zawarły pakt zgody i przyjaźni. Francja i RFN należą wspólnie do bloku NATO, a obecny socjalistyczny prezydent Francji Mitterrand i konserwatywny premier niemiecki Helmut Kohl zgodzili się na zainstalowanie w kilku zachodnioeuropejskich państwach amerykańskich Pershingów, skierowanych na wschód. I nie ma dziś nienawiści do Niemców we Francji ani w Niemczech do Francuzów.

Nigdy nie zapomnę wykładu profesora Hansa Uebersbergera na fakultecie historii wie-

dańskiego r., podczas którego mówił o niepisanych prawach dziejów. "Nic się nie dzieje samo z siebie, nie ma automatyzmu wydarzeń historycznych; wszystko jest dziełem ludzi. Gdy do władzy przychodzi duża indywidualność, człowiek nieprzeciętnego formatu, może skierować bieg wydarzeń w zupełnie nieprzewidzianym kierunku".

Gdy w społeczeństwie polskim i ukraińskim narodzą się ludzie formatu de Gaulle'a i Adenauera, to zakończą waśń polsko-ukraińską. Obecnie, niestety, nie ma w naszych społeczeństwach mężów na ich miarę. Ale rewizjonistyczna myśl polityczna mówi już, że Polska naprawdę niepodległa, bez rosyjskiego miecza Damoklesowego nad sobą, nie może powstać bez niepodległej Ukrainy. A Ukraina niepodległa nie może zaistnieć bez niepodległej Polski.

Ta rewizjonistyczna myśl polityczna znalazła wyznawców i propagatorów w gronie wybitnych polskich historyków. Należą do nich Halecki, Gross, Kamiński, Wandycz, Dżiewanowski, cały ośrodek "Kultury" paryskiej, szereg publicystów i pisarzy z Łobodowskim na czele. To nie jest szkoła sentymentalnych poetów-ukrainofilów - jak Zaleski czy Goszczyński - są oni zwolennikami realizmu politycznego. Realizm polityczny dyktuje im, że traktat hadziacki z 1658 r. i konwencja warszawska z 1921 r. - bez względu na szczegóły tekstu zawierały zbawienną platformę sojuszu Polski i Ukrainy przeciw zaborczej Moskwie. I vice versa - pakta andruszowskie z r. 1667 i pakt ryski z r. 1921, oparte na koncepcji podziału Ukrainy między Polskę i Rosję były traktatami zgubnymi dla Polski i Ukrainy, bo przygotowywały rozbiory Polski i niewolę Ukrainy. Wieszcz ukraiński - Taras Szewczenko miał więcej rozumu - a może wyobraźni politycznej od swych ziemków-polityków. "Polska upadła - pisał - lecz i nas przywaliła".

W społeczeństwie ukraińskim staje się coraz powszechniejsze przekonanie, że należy szukać porozumienia z Polakami i że zbawienna jest tzw. koncepcja Prometeuszowska - sojusz wszystkich narodów uciemiężonych przez Moskwę. Szerokie kręgi społeczeństwa polskiego nie doszły jeszcze do takiego wniosku. W niemałej mierze przyczynia się do tego Moskwa. Cały sowiecki aparat propagandowy używa wszelkich środków, aby podtrzymać waśń polsko-ukraińską i nie dopuścić do utworzenia w s p ó l n e g o f r o n t u n a r o d ó w b z n i e w o l o n y c h.

Kwestia polsko-ukraińska nie ma obecnie podłoża politycznego i terytorialnego, ma podłożę psychologiczne. Dzieje Polski i Ukrainy skropione są obficie krwią obu narodów. Henryk Sienkiewicz był genialnym twórcą Quo vadis, za co słusznie otrzymał Literacką Nagrodę Nobla, był autorem doskonałych opowiadań Za chlebem, Janko Muzykant, Hania i innych, miał godny podziwu dar wzbudzania u czytelnika takiego zainteresowania, że nie można się było oderwać od jego powieści, lecz Ogniem i mieczem wyrządził krzywdę obydwu narodom. Na gloryfikacji, panowania szlachty polskiej na prawym brzegu Ukrainy, na charakterystyce Ukrainy włożonej w usta "imć pana Zagłoby" wychowały się polskie pokolenia. Łuny w Bieszczadach Gerharda i książki Kossak-Szczuckiej to echa Ogniem i mieczem. Kiedy profesor Uniwersytetu Warszawskiego, historyk Olgierd Górka odważył się wydać w 1937 r. rozprawę "Ogniem i mieczem w świetle prawdy historycznej", spotkał się z wrogą postawą krytyki i społeczeństwa. I ten klimat wrogości do Ukraińców istnieje po dziś dzień w Polsce "ludowej". "Nowy Świat w Nowym Jorku" dziś, a "Gwiazda Polarna" obecnie zajmują w stosunku do Ukraińców przyzwoite stanowisko. Dobra atmosfera panowała na kilku już polsko-ukraińskich konferencjach naukowych; po sesji zorganizowanej w Hamilton w Kanadzie przez profesora Petra Poticznego wydano w Monachium i Nowym Jorku książkę "Poland and Ukraine" - z inicjatywy Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki i przy współpracy Polskiego Instytutu Naukowego. Dla elity intelektualnej kwestia porozumienia polsko-ukraińskiego nie jest już kwestią dyskusyjną, jest aksjomatem politycznym. Lecz szerokie kręgi społeczeństwa polskiego jeszcze tej mądrości nie rozumiały. Lepiej dzieje się w społeczeństwie ukraińskim, które uznało ideę Prometeuszowską, chociaż jeszcze nie w stu procentach.

Pracować należy nad postawieniem krzyżyka na przeszłości. Trzeba szerzyć mądrość polityczną - tezę, że w dziejach narodowych polityka wynika z potrzeb przyszłości a nie przeszłości. I kierować się należy rozumem a nie uczuciami. Należy przypomnieć, że były w dziejach Polski i Ukrainy również cenne sojusze i współpraca, nie tylko wojny i krwawe porachunki. Przecież pod Chocimiem w 1621 r. czterdzieści tysięcy wojska kozackiego pod dowództwem hetmana Petra Konaszewycza Sahajdacznego razem z wojskiem polskim zadało klęskę Turkom, pomściwszy niejako klęskę wojska polskiego pod Cecorą, gdzie zginął hetman koronny Żółkiewski. Jan III Sobieski zwlekał z pomocą koalicji zachodniej przeciwko Turkom, którzy maszerowali na Wiedeń, dopóki nie nadeszły sprzymierzone wojska kozackie. Wygrana bitwa na wzgórzach Kallenbergu pod Wiedniem była zasłu-

gą Polaków i Ukraińców. Nawiąsem mówiąc - wtedy to Jurij Franc Kulczyckij, szlachcic ukraiński rodem z Sambora znalazł w obozie tureckim worki z jakimś zielonym ziarnem, zaczął je z ciekawości gotować i w ten sposób odkrył kawę. Był założycielem pierwszej w Wiedniu kawiarni - wmurowano tam na jego cześć tablicę pamiątkową.

5 marca 1920 r. / 7 maja 1920 r. - "N" / autor niniejszych uwag był świadkiem jak wojska ukraińskie i polskie wkroczyły wspólnie do Kijowa. Komendantem wojsk polskich był Rydz-Śmigły, a komendantem Kijowa został ukraiński generał Zelinskij. Gdy wyprawa kijowska zakończyła się klęską i Bolszewicy ruszyli na Zachód, 6 dywizja ukraińska "Striżocka" pod dowództwem pułkownika a wkrótce potem generała Marka Bezručki wstrzymała pochód konnicy Budionnego pod Zamościem i przyczyniła się tym do "cudu nad Wisłą".

Można by wymienić inne przykłady współpracy polsko-ukraińskiej w przeszłości. Lecz nie ma to dziś większego znaczenia. Liczy się obecna rzeczywistość. Jest taka, że przeciętny Ukraińiec czy Ukrainka nie wie, jak nazywa się "premier" "niepodległej" Ukraińskiej Republiki Radzieckiej, natomiast wie, że wodzem na Kremlu został zrusyfikowany "małoros" Czernienko, tak samo jak za Mikołaja II prezesem Dumy był zrusyfikowany "małoros" Rodzianko. A w Polsce panuje generał Jaruzelski, większy komunista niż Polak, w istocie rzeczy podwładny Moskwie.

Rzeczywistość jest taka, że wprawdzie wszystkie ziemie ukraińskie są zjednoczone, ale w jednym więzieniu. I wprawdzie Polska uzyskała utracone w rozbiorach Śląsk i Pomorze, ale Lech Wałęsa w Gdańsku stale jest pod nadzorem bezpieki. I stan ten będzie trwał tak długo, dopóki istnieć będzie Imperium Sowieckie. Lecz nie wiecznie. Imperium rozleci się, zniknie, jak znikły wszystkie niezwycone imperia: rzymskie, tatarskie, tureckie, arabskie, napoleońskie, hitlerowskie. Bo każde państwo budowane na bagnatach prędzej czy później musi zginąć. Trzeba tylko, aby w owej nowej dziejowej chwili uciemiężone przez Moskwę narody odzyskały niepodległość wspólnymi siłami i wspólnie broniły swej niepodległości. W pierwszym rzędzie odnosi się to do Polaków i do Ukrainy.

Dziś zdaje się takie myślenie utopią - przecież Związek Sowiecki jest superpotęgą, sięga od morza Bałtyckiego do Oceanu Spokojnego, od morza Białego do morza Czarnego, a jego granice na Zachodzie - dzięki głupocie Zachodu - sięgają nad Dunaj i Wełtawę. Dziś istnienie niezależnej Polski i niezależnej Ukrainy jest utopią. Jutro może stać się rzeczywistością. Naszym obowiązkiem jest przygotować się do tego wielkiego futuru.

Iwan KEDRYN

Iwan Kedryn-Rudnyckij - najstarszy dziennikarz ukraiński. W latach 1925-31 był członkiem Klubu Sprawodawców Parlamentarnych w Warszawie, jako jedyny przedstawiciel prasy ukraińskiej w Polsce. W latach 1936-39 - redaktor naczelny dziennika ukraińskiego "Diko" we Lwowie. W Stanach Zjednoczonych przez ostatnie dwadzieścia lat członek redakcji dziennika ukraińskiego "Swoboda", wydawanego w Jersey City; członek Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki i prezes jego komisji ds konferencji naukowych polsko-ukraińskich. Honorowy prezes Związku Dziennikarzy Ukraińskich w Ameryce. Autor kilku książek historycznych i z dziedziny polityki. W "Kulturze" paryskiej /nr 10/361, 1977 r./ ukazał się jego artykuł "Białe kruki". /"TYGODNIK NOWOJORSKI"/

#### OD REDAKCJI "NIEPODLEGŁOŚCI":

Kwestia ukraińska w Polsce nie wygląda aż tak źle jak ją widzi Iwan Kedryn. Prawdopodobnie ma nieaktualne i cząstkowe tylko informacje ... i emigracyjną optykę. Że nie dostrzega proukraińskich tendencji w obecnym podziemiu, to można zrozumieć, choć Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki powinno być zaopatrzone w przyzwoity zestaw polskiej bibuły z ostatnich lat. Dziwi jednak, że nie zauważył np. działalności Papieża - Polaka i choćby zjazdowego POSELANIA "Solidarności". Jeśli, zgodnie z tym co napisał, na Ukrainie "staje się coraz powszechniejsze przekonanie, że należy szukać porozumienia z Polakami", to biorąc pod uwagę procesy zachodzące obecnie w Polsce nasze narody mogą patrzeć w przyszłość z jakimś optymizmem.

I jeszcze jedno. Kazimierz Podlaski, w przytaczanej przez nas wielokrotnie pracy "Litwini, Białorusini, Ukraińcy, nasi wrogowie - czy bracia?", wydanej w r. 1984 w Wydawnictwie "PRZEDŚWIT" /Wyd. I. Wydawnictwo "SŁO"O"/ pisze: "I nie ma Ukraińców wśród wojsk wkraczających do Kijowa? W dwa dni później wielka defilada na Kreszczatiku przed gen. Rydzem-Śmigłym. /.../ Ale nie sposób mi ustalić, czy był na trybunie ataman Petlura, czy go nie było. Wolę przyjmować, że to przeczenie pamiętnikarza /wszystkich?/ a nie polskie - historycznie zbrodnicze - faux pas." /str. 68/.

I słusznie. Z relacji Kedryna - naczelnego świadka - wynika, że wojska ukraińskie wkroczyły do Kijowa razem z polskimi, i że Komendantem miasta był ukraiński generał

Zelinskij. Nie było więc na szczęście polskiego - historycznie zbrodniczego - faux pas.

Redaktor dyżurny

.....  
 .....  
 N O W I      B O J O W N I C Y      O      W O L N O Ś Ć

przedruk: "COMMENTARY", vol.80, no.3, IX.1985

1.

W latach 70-tych w ośmiu kolejnych państwach powstały rządy marksistowskie: w Wietnamie, Angoli, Etiopii, Kambodży, Mozambiku, Płd. Jemenu, Nikaragui i Afganistanie. Obecnie wszystkie z wyjątkiem dwóch: Płd. Jemenu i Wietnamu - mają silnie rozwinięty ruch oporu. Do chwili obecnej powstania w krajach komunistycznych były zawsze szybko tłumione. Marsz w kierunku totalitaryzmu komunistycznego wydawał się być nieodwracalnym. Obecnie po raz pierwszy, jak wykazuje rejestr światowych ruchów partyzanckich, powstania antykomunistyczne są w stanie przeradzać się w przewlekłe wojny przeciw prosowieckim rządóm, odnosząc zadziwiające sukcesy.

W Afganistanie, który szczyli się największą i najbardziej zażartą antykomunistyczną wojną powstańczą, słabo uzbrojeni mudżahedyni utrzymywali przeszło 115.000 sowieckich żołnierzy w militarnej gotowości bojowej. Przez pięć i pół lat toczącej się wojny sowieci zabili setki tysięcy Afgańczyków, ponad sześć milionów ludzi wysiedlili z domostw tracąc przy tym 15.000 żołnierzy. Pomimo największych wysiłków wspomaganym zwartym szykiem najbardziej skomplikowanej technologii wojennej oraz brakiem moralnych i humanitarnych skrupułów, sowieci nie zdołali pozbawić Afgańczyków woli do stawiania oporu.

W Angoli 40.000 żołnierzy składających się na zbrojne siły UNITA Jonasa Savimbiego, opanowały 1/3 kraju i toczą walkę o dalsze terytoria z takim powodzeniem, że 35.000 kubańskich żołnierzy wypożyczonych przez Castro może stracić ochotę na dalszą walkę. Częstym zjawiskiem są raporty o żołnierzach kubańskich odmawiających walki. Pewien kubański pułkownik, który zdezerterował ostatecznie, wyjaśnił, że był "zmęczony grzebaniem kubańskich żołnierzy w Afryce."

W Nikaragui około 20.000 partyzantów nadal stawia opór reżimowi sandinistów. Uważa się, że powstanie rozchodzące się z górzystych północnych prowincji Nikaragui doprowadziło w ubiegłym roku do strat sięgających 150 milionów dolarów w postaci zniszczonych ciężarówek, mostów, silosów i farm. Zachodnie źródła dyplomatyczne donoszą, że co najmniej 30.000 chłopów sympatyzujących z "contras" zostało zesłanych do obozów na terytoriach kontrolowanych przez rząd.

W Etiopii marksistowski rząd pułkownika Mengistu stoi w obliczu szturmów ze strony dwóch głównych i kilku mniejszych ruchów powstańczych. Secesjoniści w Erytrei kontrolują obecnie 85% tej północnej prowincji, podczas gdy inna grupa powstańców zajęła ponad 3/4 prowincji Tigre.

W Mozambiku ruch powstańczy obejmuje dziewięć z dziesięciu prowincji tego kraju, prawie nierozdzielnie panując na prowincji i sięgając niepokój w głównych ośrodkach miejskich.

W Kambodży 25.000 walczących antykomunistów zasiliło szeregi prochińskich komunistycznych partyzantów mając na celu wyrugowanie oddziałów wietnamskich liczących 180.000 ludzi. Wraz z poważnymi niepowodzeniami głównych wiosennych ofensyw wietnamskich, donosi się o działaniach powstańców w głębi Kambodży, koncentrujących się na szybkim ataku i odwróceniu oraz na sabotażu ekonomicznym.

2.

Odmienność warunków lokalnych w każdym z tych państw jest tak duża, że trudno o wyodrębnienie wspólnej przyczyny wzrostu ruchu oporu w nich wszystkich. W niektórych wypadkach jak np. wojna w Afganistanie, rebelianci są zaciekłymi tradycjonalistami religijnymi. W tym wypadku wiara mudżahedynów skłania ich do wspólnej walki w świętej wojnie dżihad z niewiernymi sowietami. Wiara ta jest tak silna, że nie jest konieczne, aby któryś z religijnych liderów powiększał szeregi partyzantów w roli dowódcy. Marionetkowy rząd Kamala usiłuje złagodzić antagonizm pomiędzy Islamem a Marksizmem, lecz Afgańczykom wystarczy spojrzeć przez granicę, aby poznać prawdę. Z 26.000 meczetów górujących nad środkowo-azjatyckimi republikami po zdobyciu władzy przez sowieców pozostało jedynie 450.

Religia nie jest tak decydującym czynnikiem w innych insurekcjach, ale mimo to odgrywa dużą rolę w rozniecaniu iskrzy oporu i w umacnianiu powstańczego morale. Np. Prezydent Mozambiku Samora Machel zraził do siebie wielu rodaków rozpędzając księży, konfiskując dobra kościoła, zamykając szpitale katolickie i zakazując prowadzenia szkół parafialnych. Podobne zjawisko występuje w Nikaragui, gdzie tarcia do jakich dochodzi pomiędzy rządem a kościołem katolickim są w mniemaniu rekrutów "contras" ich głównym motywem do sprzeciwu wobec reżimu sandinistów.

W innych miejscach szeregi partyzanckie zasilane są przez ekslewicowców, których uraza do obcych wpływów skierowała przeciwko poprzednim ideologicznym towarzyszom. Taki stan rzeczy obserwujemy w Etiopii. Przed marksistowskim przewrotem, który obalił Haile Selassie w 1974 r., Związek Radziecki dostarczał broni oraz szkolił nacjonalistów erytrejskich do walki z "kolonializmem etiopskim". Obecnie, gdy Sowieci mają przyjaciół w Addis Abebie, Erytrejczycy spotykają się z sowieckimi działkami i ośmieszającymi cyrylicą bombami, które coraz bardziej zniechęcają ich do sowieckiego marksizmu.

Antykomunistyczny opór został również wywołany ekonomiczną nieudolnością popieraną przez Sowieców reżimów. Wiele państw podległych Sowiecom zaczyna dostrzegać, że Moskwa skąpi pomocy ekonomicznej, a jest chciwa na ich bogactwa naturalne. W Afganistanie Sowieci "kupują" gaz naturalny po cenach o wiele niższych od poziomu światowego rynku, a następnie potracają tę sumę z afgańskiego "zadłużenia wojennego" - kosztu utrzymania sowieckiej armii okupacyjnej. W Mozambiku biorą złoto, węgiel, miedź i tantalit, oferując w zamian przestarzałą maszyneryję bloku sowieckiego i sowiecką "ekspertyzę". Na domiar złego Kreml jest głuchy na bezustanne prośby Mozambiku o pomoc gospodarczą, skłaniając prezydenta Machela do szukania tej pomocy na Zachodzie.

Spośród nowych państw marksistowskich nie tylko Etiopia nie jest w stanie wyżyć społeczeństwa. Mozambik i Afganistan również stoją w obliczu poważnego głodu, podobnie jak Kambodża, która nigdy nie powróciła do normy od czasu zabójczego eksperymentu "reformy rolnej" przeprowadzonej przez Czerwonych Khmerów. Nikaragua nie jest jeszcze w aż takich tarapatkach, lecz wprowadziła racjonowanie żywności.

Głównymi przyczynami niepowodzeń w rolnictwie w tych krajach są: błędnie zaplanowana reforma rolna, kolektywizacja gospodarstw i brak waluty wymiennej na zakup nasion i nawozów. Ale w przynajmniej dwóch państwach: w Etiopii i Afganistanie setki tysięcy ludzi umrze z głodu w bezpośrednim wyniku wojny przeciwko partyzantom. Żywność stała się główną bronią w komunistycznym arsenale przeciwdziałających powstaniom technik. W Afganistanie piloci sowieccy zrzucają bomby zapalające na pola dojrzewających zbóż, aby głodem zmusić Afgańczyków do uległości. W Etiopii rząd umyślnie powstrzymywał międzynarodowe organizacje pomocy społecznej przed rozprowadzaniem żywności na terytoriach opanowanych przez partyzantów.

Przywódcy etiopski najwidoczniej wzięli lekcję z sowieckiego doświadczenia w obaleniu powstania mużulmańskich szcerów w Azji Centralnej, w latach 20-tych, znanego jako powstanie Basmaczy. W okresie największego głodu w 1923 r. Armia Czerwona przeważała handel i komunikację pomiędzy miastami i prowincją izolując ruch oporu. W czasie gdy pół miliona ludzi głodowało, Sowieci wydzielali żywność kolaborantom, nie douszczając jej na tereny sympatyzujące z rebeliantami.

### 3.

Obecnie, podobnie jak niegdyś, Związek Radziecki nie wykazuje oznak złagodzenia swego postępowania. W jednym ze swych pierwszych wystąpień przy obejmowaniu władzy, w czasie pogrzebu swego poprzednika, Michaił Gorbaczow wziął na bok prezydenta Pakistanu Zia i ostrzegł go przed udzielaniem poparcia afgańskiemu ruchowi oporu. /Pakistan udzielił czyli 3,4 mln uciekinierów i mudahedynów zezwalając też na przewożenie przez swe terytorium międzynarodowych środków pomocy do Afganistanu/.

Jak dotąd czyny Gorbaczowa idą w parze ze słowami. W czasie pierwszych 4 miesięcy 1985 r. według władz pakistańskich, radzieckie samoloty naruszyły przestrzeń powietrzną Pakistanu nie mniej niż 83 razy /w porównaniu z 88 takimi wypadkami w czasie całego 1984 r./ Sowieci stali się też bardziej aktywni w samym Afganistanie w czasie ostatniego roku. Podobna sytuacja istnieje w dwóch innych podległych Sowiecom państwach - w Angoli i Wietnamie.

Ruchy partyzanckie nie odnoszą zwycięstw na polu bitwy; pokonują natomiast mocniejszych przeciwników nie tyle przez wygrywanie wojen, ile przez nie przegrywanie ich, przez przekonywanie swych przeciwników, że koszt wojny jest zbyt wysoki, a korzyści ze zwycięstwa zbyt małe, aby dalej przelewać krew i tracić pieniądze. Lecz nie mogą oni dokonać wyczynu "przetrzymania wroga", jak twierdzi Walter Laqueur - bez pomocy. Idea triumfujących tubylczych partyzantów nad mającym przewagę wrogiem, żyjąca na-

dal w wyobraźni Amerykanów należy już raczej do mitów. W rzeczywistości, prawie wszystkie ruchy powstańcze uzależnione są od poparcia państw ościennych, przynajmniej w pierwszych swych etapach.

Tak jak przejęcie władzy przez komunistów mogło być osiągnięte w przeszłości z pomocą Związku Radzieckiego, tak i obecna fala ruchów antykomunistycznych wymaga pomocy z zewnątrz, jeśli ma się zakończyć sukcesem. W Nikaragui "contras" potrzebują stałej dostawy broni i amunicji oraz logistycznego poparcia ze strony rządu USA, jak również baz zabezpieczających w Hondurasie, koszty utrzymania których muszą być pokryte przez USA za pośrednictwem rządu Hondurasu. W Afganistanie mullahy potrzebują pomocy militarnej i humanistycznego wsparcia ze strony Zachodu oraz dalszej możliwości azylu w Pakistanie. I tutaj konieczna jest pomoc militarna USA dla prezydenta Zia. W Angoli i Mozambiku powstańcy potrzebują pomocy, gdyż Afryka Południowa odmówiła dalszego jej udzielania.

Niestety zachodzi obawa, czy taka pomoc będzie nadchodziła i czy będzie wystarczająca. W przeciwieństwie do rządu sowieckiego, który prowadzi dalekosiężną politykę zagraniczną /np. w Afganistanie Sowieci rozpoczęli siac pierwsze ziarna pod Afgańską Partię Komunistyczną już w pierwszych latach 60-tych/, amerykańska polityka w stosunku do antykomunistycznych grup rewolucyjnych waha się z każdą zmianą administracji. Administracja Cartera ignorowała, a nawet aktywnie zniechęcała ruchy oporu. Kilka lat temu Jonas Savimbi zdał przygnębiającą relację ze spotkania z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które odbyło się w czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych w 1979 r. "Powiedzieli, że tracę czas, że administracja Cartera nie zamierza zaprzętać sobie głowy sprawą ugrupowania UNITA" - powiedział Savimbi wydawcom "New Republic". "Pytali mnie dlaczego boję się komunizmu. Powiedzieli nawet, że stoję na straconej pozycji i że powinienem się poddać."

Chociaż administracja Reagana wykazuje więcej entuzjazmu dla pomocy ruchom antykomunistycznym, polityka Stanów Zjednoczonych jest wciąż wypaczenia przez wewnętrzne sprzeczności i rywalizację stronnictw. I w ten sposób pomoc dla UNITA Savimbiego została wstrzymana uchwałą /ostatnio ponownie dyskutowaną/ Kongresu. W Mozambiku Stany Zjednoczone udzielają rządowi pomocy w wysokości ponad 20 mln dolarów w postaci dostaw żywności, pomocy technicznej oraz tzw. "nieśmiercionośnej" pomocy militarnej /np. mundury/. Ministerstwo Spraw Zagranicznych administracji Reagana nie wyparło się ponadto określenia Narodowego Ruchu Oporu Mozambiku /MNR/ jako najemników i Narzędzia Afryki Płd. - pomimo faktu, iż Afryka Płd. zaniechała swego poparcia i podpisała wspólny pakt o nieagresji z reżimem Mchela.

Ponad rok temu MNR ożywiło swoją działalność.

Demokraci niechętnie nastawieni do spraw afrykańskich, stają się entuzjastami jeśli chodzi o kraje Azji. Np. w marcu Stephen Solarz, kongresman liberalno-demokratyczny, zaproponował pomoc w wysokości 5 mln dolarów dla nie-komunistycznej organizacji ruchu oporu w Kambodży. Komisja Izby Spraw Zagranicznych zdystansowała w tej sprawie Biały Dom, przegłosowując propozycję Solarza wynikiem 24:9 i już pod koniec linca tego roku /1985 - "N"/ uchwaliła pomoc w wysokości 10 mln dolarów na okres 2 lat. Demokraci w Izbie Reprezentantów i w Senacie odegrali również wybitną rolę w zwiększeniu zaangażowania Stanów Zjednoczonych w sprawę Afganistanu. Nie będąc w stanie, przynajmniej na początku, uzyskać zaledwie 14 mln dolarów na "humanitarną" pomoc dla "contras" w Nikaragui, administracja nie miała żadnych trudności w przekonaniu pełnego entuzjazmu Kongresu o konieczności przyznania afgańskim partyzantom pomocy w wys. 280 mln dolarów w 1985 r.

Ta niekonsekwencja ma proste wytłumaczenie. Pomoc dla Afganistanu i Kambodży wydaje się wielu kongresmanom bezpieczniejsza od pomocy udzielanej w innych miejscach, ponieważ nie jest prawdopodobne, aby wojska USA były kiedykolwiek wysłane do tak odległego zakątka świata, przynajmniej w erze wietnamskiej. W przypadku Nikaragui natomiast, jak również w Salwadorze, istnieje zakorzenione podejrzenie, że amerykańska pomoc wojskowa mogłaby przerodzić się w bezpośrednią akcję Stanów Zjednoczonych. Paradoksem jest, że niektórzy kongresmani ociągają się z zaangażowaniem Ameryki w konflikt nikaraguański, dlatego tylko, że Ameryka ma tam swoje interesy.

Następnie, słuszność sprawy Afganistanu i Kambodży jest w tak oczywisty sposób poza dyskusją, że Kongres nie musi specjalnie zwracać sobie nimi głowy. W obu tych państwach wróg jest oczywisty i niszczy opór przy pomocy swych czołgów bez śladu dwuznaczności. Natomiast sprawa Nikaragui nie jest tak zupełnie przejrzysta, a panująca w tym kraju chaotyczna sytuacja będąca wynikiem wojny domowej sprawia, że Amerykanie prawie instynktownie już nie chcą się w nią angażować.

Dyktatorzy marksistowscy są wyjątkowo biegli w wykorzystywaniu amerykańskiego za-

kłopotania w tym względzie. Marksściści zawsze zaczynają przemawiać językiem demokracji, ukrywając z początku swe faktyczne intencje. W ten sposób w Nikaragui Daniel Ortega zabiega o amerykańską opinię publiczną z zapewnieniem utrzymania wartości demokratycznych, podczas gdy jego rząd brutalnie obchodzi się z mniejszościami i wprowadza mechanizmy kontroli społecznej, udoskonalone w Związku Radzieckim i w Niemczech Wschodnich. 1/

Jeśli o to idzie, to jest wielu Amerykanów, którzy nie facygowaliby się nawet w obliczu braku tych demokratycznych gwarancji. Jeżeli Nikaraguańscy chcą być komunistami, to nie powinno to być sprawą Ameryki. Mimo wszystko prawo do narodowego samookreślenia się jest wartością nadrzędną. Są nawet tacy, którzy mają odmienne zdanie odnośnie Kambodży i Afganistanu. Ta sama inteligencja, która utrzymywała, że Stany Zjednoczone nie mogły wygrać wojny w Wietnamie, obecnie z równą pewnością twierdzi, że Sowieci nie mogą przegrać wojny w Afganistanie.

Walka na śmierć i życie jest, jak twierdzą, wspaniała, ale jej końcowy rezultat będzie taki sam bez względu na to, czy partyzanci będą walczyli, czy zgodzą się z sowiecką dominacją.

Tak więc, niszczony ekspert od spraw Azji, Selig Harrison w "Foreign Policy", jedynym wyborem Ameryki w Afganistanie jest zignorowanie życzeń mudżahedyńców i powarcie pokojowych negocjacji pakistańsko-sowieckich. Alternatywa, w jego mniemaniu, oznaczałaby "bezsilne obserwowanie dziesiątkowania szeregów powstańców w najbliższych latach". W podobnym nastroju, wybitny australijski uczonego David P. Chandler napisał, że rząd USA jest bardziej zainteresowany "zachęcaniem Kambodżan do zabijania się nawzajem oraz niektórym Wietnamczyków w imię 'wolności' niż uznaniem korzyści z kontrolowanego przez Wietnam rządu". Użycie przez Chandlera cudzysłowu przy wyrazie "wolność" jest tu objawieniem. Sugeruje, że wielu ludzi na Zachodzie nie wierzy już, aby wolność polityczna była warta umierania za nią - jest to postawa, która, gdyby ją szerzej zaakcentowano, sygnalizowałaby ostateczny triumf materializmu marksistowskiego na Zachodzie.

4.

Poza postępowymi narodami Zachodu idea politycznej wolności jaśnieje jednak dawanym blaskiem. Jednoczesne powstanie ruchu antykomunistycznego w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej nie jest zbiegiem okoliczności. Oznacza to, że sytuacja się zmienia. ZSPR - kolonialne mocarstwo w Afryce, Ameryce Łacińskiej i Azji jest szturmowane i to częściowo przez te same siły, które przyczyniły się do upadku europejskich imperiów kolonialnych.

W pewnym momencie, gdy opór wzmoże się, Moskwa nieuchronnie stanie w obliczu klęski jednego ze swych klientów i obalenia rewolucji marksistowskiej w tym kraju. Wydarzenie takie miałyby niezmiernie duże znaczenie. Tak jak wycofanie się USA z Wietnamu podbudowało komunistycznych powstańców na całym świecie, tak i obalenie popieranego przez Moskwę reżimu marksistowskiego rozjątrzyłoby zatargi prowadzące do rozpadu imperium sowieckiego. Dla wielu narodów narażonych na dominację Kremla mit o niezwyciężoności sowieckiej będzie zachwiany.

Setki tysięcy źle odżywionych, źle ubranych ludzi walczy i umiera za wolność na całej kuli ziemskiej. Nie proszą oni Amerykanów o rozlewanie krwi za ich sprawę, lecz tylko o wydanie stosunkowo niewielkiej kwoty pieniędzy. Wstrzymywanie się Ameryki przed udzieleniem im pomocy byłoby nie tylko moralnym bankructwem, lecz również zbrodniczym lekceważeniem naszych własnych interesów i naszej własnej tożsamości.

Maggie GALLAGHER i Charles BORK

tłumaczyła: Matylda PILNY

1/ Szczegółowe omówienie w zamieszczonym w niniejszym "COMMENTARY" artykule Marka Falcoffa "Nicaraguan Harvest".

.....  
 .....

R E F L E K S J E Z L E K T U R : K I K S I

W interesująco redagowanym "PRZEGLĄDZIE WIADOMOŚCI AGENCYJNYCH" ZAWIERAJĄCYM obok serwisu informacyjnego także krótkie, celne przeważnie komentarze zdarzył się kiks. Oto bowiem, w 26 nr. "PWA" z 3.X.85 komentator podpisujący się krytonimem mk, odwołując się do przykładów nadużywania prawa w III Rzeszy /w Ustawach Norymberskich/ i praworządności realnego socjalizmu, rozprawia się z

wyciąganiem "uniora legalizmu", czy też jak w innym miejscu pseudolegalizmu, w ogóle za miesięcznikiem /chyba kwartalnikiem - "SAMOSTANOWIENIE" 1/, w szczególności, nazywając ten styl myślenia za Willy Brandta /sic!/"prawniczeniem".

W swoich wywodach mk polemikę sobie ułatwia. Najpierw poprzez stosowanie drwiny zamiast argumentów, zwłaszcza w części wywodów dotyczących się legalizmu w ogóle. Zwłaszcza wydrwiwanie antykomunistycznego legalizmu poprzez powoływanie się na słowa prokomunistycznego legalisty /jaruzelski przemawia w imieniu Polski i Polaków/ Willy Brandta wydaje się nie na miejscu. Związane, że umiejętne wykorzystanie argumentów legalistycznych w walce z komunistami działa przecież na korzyść nas wszystkich. Dlatego optymalną byłaby taka modyfikacja postawy legalistycznej, w wyniku której, byłaby ona do przyjęcia dla ugrupowań nielegalistycznych. Pisaliśmy o tym w komentarzu do przedrukowanego przez nas artykułu "SS". 2/

W części szczegółowej, dotyczącej problemu byłych polskich ziem wschodnich mk interpretuje stanowisko legalistyczne jako "danie powrotu utraconych ziem do macierzy". Jest to interpretacja nieuprawniona, znacznie stanowisko legalistyczne rozszerzająca. Najbardziej prawdopodobnie kompetentny w tej materii Kazimierz Sabbat - premier rządu R.P. na uchodźctwie tak to sformułował: "Sprawa Ziem Wschodnich nie jest jeszcze ostatecznie zamknięta. O losach tych ziem nie może zdecydować wola obcych mocarstw. O losach tych ziem decydują prawa i interesy gospodarzy tych ziem, to znaczy narody tam żyjące. Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini. Kiedy kraje te odzyskają wolność, kiedy zbiorą się wolne parlamenty tych narodów, do nich należy ostateczne załatwienie losu tych ziem. Dopóki to nie nastąpi, podstawą prawną jest dokument międzynarodowy, traktat ryski." 3/ Natomiast zdanie "powrotu utraconych ziem do macierzy". Polemika mk jest więc chybiona.

Nota bene, oświadczenie niezależnych ugrupowań polskich o ostatecznym charakterze naszej wschodniej granicy tylko wtedy mają jakkolwiek sens jeśli problem ten jest otwarty, jeśli granica ta da się zakwestionować prawnie i historycznie, i jeśli istnieją siły ją kwestionujące. Inaczej byłaby to tylko zabawa słowami.

Na zakończenie, wreszcie, zgadzając się na t z częścią przytaczanych przez mk argumentów wskazujących na zagrożenia jakie dla sprawy polskiej, albo szczerzej sprawy Naszej Europy, może przynieść uparte trzymanie się stanowiska legalistycznego chcąc się odmierzać szat i odmawiania prawa legalistom do głoszenia swoich poglądów - a tak byba da się odczytać felieton mk. Bowiem albo jesteśmy zwolennikami pluralizmu i wtedy fakt, że ktoś głosi poglądy odmiennie od naszych /nawet niebezpieczne, szkodliwe, czy głupie/ powinniśmy uważać za naturalny, nie oburzać się a podejmować merytoryczną polemikę, albo dać sobie spokój z demokratyczną opozycją.

No, chyba że mk napisał paszkwil na legalistów. CZYTACZ

- 1/ kwartalnik polityczny "SAMOSTANOWIENIE" rok I nr 2, wiosna 85, "Legalizm państwowy Rzeczypospolitej Polskiej", str. 5 oraz "NIEPODLEGŁOŚĆ" nr 44-46, sierpień-wrzesień-październik 1985, str.
- 2/ "NIEPODLEGŁOŚĆ" nr 44-45-46, sierpień-wrzesień-październik 1985, str.
- 3/ "Historia zdrady", "RZECZPOSPOLITA POLSKA" - organ prasowy Rządu R.P. na uchodźctwie, nr 3/348, Londyn, marzec 1985, str. 5



POCZTA DO I OD REDAKCJI:

LIST DO ALEKSANDRA SMOLARA - dokończenie ze str.22

ców, uznanych za "rzeczników społeczeństwa" /?/ Wszyscy są bowiem równi. Głupota i ślepotą jest w "ANEKSIE" /według mnie/, Pan zauważy ją pewno i w "NIEPODLEGŁOŚCI". Ważne jest jednak to, aby unikać śpiewania w bezmyślnym chórze, co znakomicie udało się Panu w R"WE". Serdecznie pozdrawiam

Józef K.





Aleksander Smclar  
 Redaktor kwartalnika politycznego "ANEKS"  
 9, rue dr A. Schweizer  
 92 220 Bagneux, FRANCE

Szanowny Panie,

Jest Pan redaktorem kwartalnika politycznego "ANEKS". Pismo to znam dość dobrze i uważam je za całkowicie [ - - - - ] [ Dekret o dobrych obyczajach. Decyzja Sekretarza Redakcji z dn. 19.VII.85 r., godz. 16.00 ] i nie warto polemik. Mimo to chciałbym Panu przekazać wyrazy szacunku oraz pogratulować przenikliwości politycznej. Ten przerny paradoks postaram się poniżej wyjaśnić.

Jak pewno doskonale zdaje Pan sobie sprawę, publicystykę polityczną można porównać do reklamy w handlu. Tu i tam rzeczą najważniejszą jest dotarcie do odbiorców i przekonanie ich do swoich racji /towaru/. W podobny sposób kształtuje się gusta nabywców i poglądy polityczne elit, czytających publicystykę polityczną. Jest to oczywiście uproszczenie pragmatyczne. Publicystyka polityczna /lub szerzej: myśl polityczna/ bywa oceniana przez historyków i Historię. Redagując "pogrudnicowy" miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" siłą rzeczy przywykłem do stercwania wyłącznie pragmatycznego kryterium ceny publicystyki politycznej. Znajac więc "ANEKS" jako pismo "pmarcowych rewizjonistów" uznałem jednocześnie, że nie jest ono warte naszego zainteresowania - to znaczy uprawiania polemiki z drukowanymi tam tekstami. "ANEKS" jest w Polsce, w przeciwieństwie do "KULTURY" czy "KONTAKTU", bardzo mało znany a poglądy rewizjonistów, czyli przeważnie byłych członków PZPR, można znaleźć na łamach takich krajowych pism jak "VACAT", "KRYTYKA", "TYGODNIK MAZOWSZE" czy oficjalne krakowskie "ZDANIE" i stąd wygodniej jest polemizować z "krajowcami".

Niestety z przykrością zauważyłem szkodliwość publicystyki "ANEKSU", zwłaszcza jeśli chodzi o wywierany przez nią wpływ na dziennikarzy z BBC, socjologów /głównie przecież też rewizjonistów, o ile wywoda się z Europy Wschodniej/ i niektórych publicystów. Wypada w tym miejscu wyjaśnić, co rozumiem przez słowo "szkodliwość". Otóż moja tolerancja kończy się, gdy znajduję w prasie podziemnej lub emigracyjnej poglądy, które z powodzeniem mogłyby być wydrukowane w jednym z pism komunistycznych, zwłaszcza w specjalizującej się w zamazywaniu rzeczywistości "POLITYCE". Jak pewno doskonale Pan wie, tygodnik ten /wspomagany przez kilka innych tytułów/ specjalizuje się w pacyfikowaniu nastrojów polskiej inteligencji, wymyślaniu dla niej argumentów za zaniechaniem opczyjności i utrzymaniem się w stanie gnusności intelektualnej i kulcie beznadziei. "POLITYKA" też stale przekonuje, że "realny socjalizm" nie jest najlepszy /głównie z winy Polaków i ewentualnie ZSRR/ lecz i tak jest lepszy od kapitalizmu.

Publicystyka "ANEKSU" jest więc "szkodliwa", ponieważ w prawie każdym numerze można znaleźć artykuły, które z powodzeniem mógłby napisać Passent, Kozłowski, Rakowski, czy Urban. Przypomnę tylko szeroko dyskutowany artykuł "wybitnego działacza "SOLIDARNOSCI", argumentujący za tym, że stan wojenny sprawkowała "SOLIDARNOSĆ" swoim radykalizmem. Ostatnio "ANEKS" raczy nas dyskusją nad przemyśleniami Walickiego i innych. Dyskusję można by zatytułować: "Jak najlepiej sprzedać się czerwcnemu?", dziwne tylko jest to, że część dyskutantów zaleca współpracę z czerwcnym wybierając przezernie pobyt na Zachodzie. Najzabawniejszy jest może w swej wypowiedzi Waldemar Kuczyński, który przecież już wielokrotnie przekonywał nas /bezpiecznie siedząc w Paryżu/, że ta władza nie jest zła, że trzeba jej pomóc, że nie można być anty, itp. itd. Zachodzi więc pytanie, czy Kuczyński przypadkiem nie jest w Paryżu tylko na delegacji?

Dodam jeszcze, że w najnowszym numerze "ANEKSU" /36/1984/ redakcja zamieszcza tekst krajowego autora - Janczaka Boryga "Boryga kontra Besançon". Jeśli jest to rzeczywiście autor z Polski, a nie "były partyjny, obecnie emigrant", to honorarium autorskie powinien Pan wysłać do Biura Rzecznika Prasowego Rządu. Któż bowiem inny w Polsce /PRL/ wpadłby na pomysł nabijania się z antykomunizmu na Zachodzie, używając argumentów prosto z "ZCENIERZA WOLNOSCI" czy "PERSPEKTYW"? Dzielny Boryga /dla wyjaśnienia - tak się w Polsce nazywa plyn do chłodnic samochodowych c różcwym zabarwieniu/ piętnuje niski poziom zachodnich filmów z chłopcami /i seksbombami/ z KGB w roli głównej. Sam zrobiłby pewno lepsze, być może pisał scenariusze dla polskich czy sowieckich filmów o dzielnych chłopcach z "organów". Zapomina tylko o jednym: do niedawna ekrany kin na Zachodzie pełne były filmów o obrzydliwych typach z CIA. Robili je pewno ci sami, co teraz eksploatują niechęć do komunizmu wśród mas. Ta właśnie niechęć, podsycana przez Besançon, jest powodem zdenerwowania Borygi. Janczak Boryga wkurza się, że z publicystyki Besançonna może się zrodzić duży "deszcz" atomowych

głowie, spadających na Polskę, lub też odcięcie Polski od kredytów i cywilizacji zachodniej. Perspektywy rzeczywiście ciche. Najgorsze jest pewnie to, że ile Brygadzistów krajowy, a nie emigracyjny [ - - - ] [Dekret o reorganizacji informacji. Decyzja Sekretarza Redakcji z dn. 17.VII, 85 r., godz. 16.17.] że dla takich jak on skńczą się zagraniczne wycieczki na demokratyczne uniwersytety na Zachodzie, gdzie za kapitalistyczne pieniądze można bezkarnie wykazywać wyższość socjalizmu nad kapitalizmem.

Jeśli jesteśmy już przy problemach optyki, to pozwolę sobie zrobić pewne uogólnienie. Cóż wydaje mi się, że intymny kontakt z komunizmem prowadzi do zarażenia się "brzydką chorobą", która rzuca się głównie na oczy. Żeby nie być gołosłownym, wezmę się za Włodzimierza Brusa, jednego z filarów [?] "ANEKSU". Ten, skądinąd, miły Pan budował komunistyczną, księżycową gospodarkę, a także zatruwał umysły swoim studentom w Polsce, ucząc ich bzdur na temat rzekomej wyższości gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną. Po 1968 roku Polskę opuścił. Miał kilkanaście lat czasu na przeprowadzenie studiów porównawczych nad gospodarką typu sowieckiego i wolnorynkową, mógł też korzystać z bibliotek i uzupełnić swoją wiedzę ekonomiczną. Czwarte są dla niego łamy "ANEKSU" i innych pism /a także mikrofony "wolnych" rozgłośni/. Mógł więc, podając siebie za przykład zwiędziczonego na manowce grzesznika, oświecić nas tu na miejscu w zrozumieniu mechanizmów gospodarki. Czym jednak, jak nie zarażeniem się "brzydką chorobą" warku tłumaczyć można fakt, że zamiast tak potrzebnej nam wiedzy przekazuje ludziom na Zachodzie zalecenia skomunizowania ich gospodarki? Czy Pan zna artykuł Włodzimierza Brusa "The Economic Role of the State: East and West", zamieszczony w kwartalniku "SURVEY", Vol. 25, No. 4 z 1980 roku? Polecam także opublikowany tamże artykuł "ofiary" inwazji sowieckiej na Czechosłowację w 1968 roku, Cty Szika "Human Economic Democracy". Pluralizm poglądów, pluralizmem poglądów - lecz nie tłumaczy ślepoty facetów, którzy przecież z autopsji powinni znać funkcjonowanie gospodarki po obu stronach Łaby. Reasumując: wybaczą wszystkie bzdury tym, którzy z Wschodzie mają jedynie wyobrażenia, rewizjonści emigranci są dla mnie niepoprawnymi grzesznikami i szkodnikami.

Na tym krótko przedstawiam swojego punktu widzenia na "ANEKS", dodam jeszcze, że gdyby "ANEKS" miał takie samo zdanie o "NIEPODLEGŁOŚCI" publicznie /w publicystyce/ to nie przeszkadzałoby to wcale w utrzymywaniu poprawnych stosunków towarzyskich. Piszę te słowa z myślą o tych, którzy wciąż jeszcze /za komunistami/ uważają, że ludzi o odmiennych poglądach najlepiej likwidować zamiast trudzić się wykazywaniem głupoty, szkodliwości czy niekonsekwencji ich poglądów.

Teraz chciałbym przejść do drugiej sprawy, zaznaczonej na początku listu. Chcę przekazać Panu wyrazy szczerego uznania za udział w dyskusji w RWE nad książką "KONSPIRA". Książka została już nagrodzona przez "Komitet Kultury Niezależnej", pobita w konkurencji nawet "KCK" J.J. Lipskiego. Dziwna sprawa, powszechny entuzjazm i... brak recenzji. Jedynie pojawiają się kasliwe sprzeczności. W specjalnej audycji RWE wzięli udział: dyrektor Najder, Krzysztof Pomian, Mirosław Chojcecki i Pan. Słuchając audycji miałem wrażenie, że tylko Pan książkę przeczytał. Pozostali dyskutantów bredzili, że są zachwyceni, że książka ta pokazuje, że Polska jest w Europie [????!!!!] itp., itd. Jedynie Pan zwrócił uwagę na fakt, że z zamieszczonych w tej książce wypowiedzi podziemnych przywódców "SOLIDARNOŚCI" nic nie wynika, a jeśli wynika, to tylko to, że nie mają nic do powiedzenia. Nie mają przecież żadnej koncepcji działania, kłócą się o to, czy lepiej strajkować 1 minutą czy 15. Zachwyty Najdera i Pomiana nad faktem pokazania odczytu "od kuchni" /lub "w bambuszach"/ był dla Pana zaskoczeniem, i to z gatunku niemiłych. Zwrócił Pan uwagę /tu upraszczam/, że przywódcy TKK nie udzielali wywiadu "PRZYJACIÓŁCE" i mówili do czytelników prasy i książek podziemnych. Takich czytelników może interesuje sposób przyrządzania pieprzówki, podany przez Bogdana Lisa i damsko-męskie układy, opisywane z lubością przez Bujaka, Frasyniuka i Lisa. Nie dożał Pan /a szkoda/, że działacze podziemia, walczący przecież nie tylko z czerwonym a także z alchchizmem, nie byli chyba specjalnie zachwyceni szczerością Bujaka, który rzbajając stwierdza, że co pół kasety /na którą nagrywano wywiad/ strzelał sobie pięćdziesiątkę.

Gratuluje więc Panu szczerze odwagi intelektualnej i politycznego spojrzenia na "KONSPIR", książkę, która głównie chyba odbiera chęć działania w podziemiu, w ruchu "SOLIDARNOŚĆ". Potrafił wyłamać się Pan z chóru, który głupotę widzi jedynie u Urbana i Krasieńskiego, wiedzę i przenikliwość polityczną zaś w każdym innym lapsusie Wałęsy, TKK, publicystów "TYGODNIKA MAZOWSZE" czy niektórych kradok. na str. 20.